Nr 36 (1546) Warszawa, 3 września 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 8. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kongres wolnej myśli.

W szeregu kongresów, które w czasach ostatnich odbyły się na rozległym obszarze Europy, warto zwrócić uwagę na ten, o którym ogół nasz pragnąłby jak najmniej wiedzieć, a wszelkie jego echa, do nas dobiegające, w drodze zdławić. Mamy na myśli piętnasty międzynarodowy kongres Wolnej Myśli, który obradował w Brukselli w dniach 21-24 sierpnia. Temat na pozór skromny: zagadnienie wolności sumienia i prawne tej wolności gwarancje w różnych krajach i państwach.

Zagadnienie wolności sumienia bardzo mało interesuje nasze sfery inteligientne. Sumienie, ta najistotniejsza cząstka naszej psychiki, tak rzadko jest u nas dopuszczane do głosu. Zamiast sumienia mamy dogmaty i dogmaciki, czy to religijne, czy polityczne, narodowe, czy społeczne. Stworzyliśmy sobie szereg reguł i regułek, mocą których ujęliśmy, jak w obręcz żelazną, nasze sumienie. Jesteśmy praktyczni, ale tą praktycznością episjera, który tak rocznym bilansem zamyka roczne rachunki, jak pobożny katolik doroczną spowiedzią swe doroczne grzechy i grzeszki. Wiary zblakły, ale pozostały formy wiar; formy te są kwestją przyzwoitości—mówimy—i niema co robić o nie gwałtu. Zapanowało przekonanie, że ludzi tworzy środowisko; filozoficzny determinizm, na który się tak oburzano, został przez tych właśnie, którzy się tak oburzali, przemieniony na determinizm obyczajowy. Zapanowała wiara, że ludzi urabia dobry układ społeczny, dobre prawo, dobre instytucje. Ta zgoła błędna obserwacja do błędnych doprowadziła wniosków. Wzięto skutek za przyczynę. Widząc w Europie dobry ustrój, dobre prawo, dobre instytucje, które hodują dobrych ludzi, nie dojrzano tych, którzy ów dobry ustrój wytworzyli, którzy te dobre prawa obmyślili i którzy z wielkim mozołem i w długim czasie te dobre instytucje zakładali. Gdyby je dziś w Europie jakaś katastrofa nagle zniszczyła, zostałyby bardzo prędko odbudowane, jak spalone domy, a nawet jak spalone miasta. Miasta znakomite musiały powstawać przez całe wieki, ale po pożarze mogą być odbudowane w ciągu roku, gdyż cała ich konstrukcja pozostaje w umysłach obywateli. Ale gdy w owych umysłach konstrukcji takiej niema, nawet ich realne istnienie niewiele będzie warte: dziki człowiek, wziąwszy w swe ręce najpiękniejszą instytucję, natychmiast ją spaczy; dziki człowiek, zostawszy profesorem wszechnicy, zacznie z jej katedr dzikie głosić rzeczy.

Dzielni i rozumni ludzie na Zachodzie postrzegli dawno, że owa teorja mechanistycznego pojmowania społeczeństw i ów obyczajowy determinizm to dzieło sfer, które pragną wieczystą teraźniejszością zastąpić proces ciągłych przemian, albowiem istniejąca teraźniejszość jest dla nich najkorzystniejsza. Aby ją tedy utrzymać, zrutynizowały myśl, uczucie, zasady, sumienia. Inteligiencja, która stworzyła bajecznie wygodne urządzenia nowoczesne, zatkała uszy na wszelkie skrzypienia tych urządzeń. I oto śród maszyn ogół stał się maszyną, a jednostki jej kółkami. Ale potrzeby życia wzrosły, maszyna w stosunku do nich okazała się zbyt małą, trzeba ją rozszerzyć; lecz cały plan owego rozszerzenia musi najpierw powstać w umysłach. Aby to weszło w granice możliwości, trzeba poprzecinać nitki rutyny, trzeba zbudzić umysły z mechanicznej śpiączki, trzeba wyobrazić sobie rzeczy dotąd niewyobrażone i wytworzyć pojęcia dotąd nie pojmowane. Trzeba znowu rozszerzyć naszą psychikę, aby odpowiadała potrzebom rzeczywistości.

Demokratyzacja prawa politycznego i społecznego wyprowadziła na arenę obywatelstwa nowe masy

ludzkie, które ślepo korzystają z nowoczesnych urządzeń, nie rozumiejąc ich ducha. Obarczone swemi atawizmami, wchodzą do kultury, ale muszą ją do swych natur obniżyć. Sfery rządzące mniemały, że karność i posłuszeństwo, obowiązujące te masy, wystarczą. To była wielka omyłka. Wraz z techniką nowoczesną trzeba tym masom dawać ducha nowoczesności, inaczej one pchną całą cywilizację w niepożądanym kierunku. Nigdy indywidualizm nie był bardziej pożądany, jak właśnie w chwili, kiedy społeczeństwa stały się wielkimi mechanizmami.

Nie ulega wątpliwości, że Wolna Myśl pojęła zagadnienia społeczne daleko głębiej, niż ugrupowania pod innymi hasłami. Zrozumiała ona, że prawność powinna wyprzedzać prawa, kulturalność kulturę, etyczność etykę. Tej trzymając się zasady, przekonała się, że, np., w Anglji prawne stosunki śród obywateli są bardziej postępowe, niż kodeks angielski, gdy np., w Galicji, przy względnie bardzo liberalnym prawie, obywatele są bardzo nieliberalni. Nie ulega wątpliwości, że byłoby dobrze, gdyby u nas nastąpiła reforma prawa; ale i to jest faktem, że gdyby nam dano istotnie idealne prawo, mimo to, idealnego ładu prawnego wcaleby u nas nie było.

Kościół katolicki szczyci się, że posiada najlepszą etykę i najlepszy sposób hodowli ludzi. Ponieważ istnieje już coś około 2000 lat, więc chyba miał czas zamienić zbójców i bandytów w aniołów i archaniołów. Tymczasem, w ciągu tak długiego okresu swej czynności pedagogicznej, nie umiał uczynić z nich nawet względnie porządnych ludzi. „Daj mi rząd dusz", wołał Mickiewicz. Nie wiedział, że gdy Piotr Rybak ten „rząd dusz" dostał, musiał z czasem przemienić się w Lojolę Liguorego i Torkuemadę.

Zbudzone dusze pragną wolności. Dostojeństwo człowieka współczesnego gardzi obłudą. Duma jego nie znosi ustępstw od prawdy. On chce być sobie panem, bo już umie nim być. Gdy z uniwersytetów i książnic wraca w progi życia, zdaje mu się niekiedy, iż z wyżyn tronu wtrącono go do głębi więzienia. Rozgląda się po obywatelach, jak po ślepych współwięźniach, którzy z własnych myśli ukuli sobie kajdany, a z własnych pojęć turmy i lochy. Ale jeżeli przecież śród tej masy biernej są jednostki, grupy i warstwy, które doprawdy chcą żyć własnym życiem, to jakie mają prawa i jeżeli mają, czy są one dostateczne?

Ludzie ci zrozumieli, że jednak wolność ich duchowa będzie bardzo względna, jeżeli dokoła nich u innych jej nie będzie. Tedy, w swoim własnym i w interesie ogółu, zaczęli szerzyć swoje idee; typy ich pojawiły się w różnych krajach, ruch narodowy przemienił się w wielki ruch wszechnarodowy.

Dla nas Polaków określenie Wolna Myśl zawiera tylko nową formułę, ale treść tej formuły jest bardzo stara i ma swoją piękną historję. Owa młodzież, która w XVI. wieku biegła na uniwersytety włoskie, aby się kształcić i modernizować, zaszczepiła na naszym gruncie na swoje czasy to, co w Wieku Oświecenia czynili nasi klasycy, a w Wieku pozytywizmu nasi pozytywiści. Wolna myśl dnia bieżącego musi u nas te zadania spełniać, które jej ów dzień bieżący wskazuje.

Nasi pisarze demokratyczni, szczerze przejęci ideą dźwignięcia ludu, bardziej pragnęli chwycić w swe ręce „rząd dusz", niż dusze te uskrzydlić do lotu samodzielnego. Z tego powodu nie postrzegli największej tego ludu potrzeby: regulacji jego poglądu na świat. Mniemali, że trzeba zacząć od regulacji poglądów na politykę, ekonomję, ustrój społeczny, poczucie narodowe.

Niemasz w Polsce dziś wolności sumienia, nad którą tam w Brukselli obradowano. A cóż po jej gwarancjach prawnych, skoro obywatele sami takich gwarancji nie uznają! Narzekaliśmy na ucisk polityczny: ale jakże srogi ucisk sami wytwarzamy! Ktokolwiek ma jakiś szerszy rozgląd, kto myślą wybiega ponad szarzyznę masy, kto kocha nie wedle takiej lub innej regułki, kto myśli nie wedle tego lub owego schematu,

---

Michał Marczewski.

„SKRY".

NOWELA.

Bieleje śnieg.

Jak okiem sięgnąć, od smukłych wieżyczek kościołka w Jeraniu aż po krzemienieckie bory, zaściela pola opona z puszystych płatuszków i gwiazdeczek.

Szklą się po nad nią szronem szkielety topoli i wierzb, wiją się po niej pasmami kolejki dróżek i dróg, a chociaż nabija się koniem pod kopyta, to jarzy się cała rzęsisto od brylantowych skier.

I skry te migoczą wszędzie.

Na szedzi płotów i ścian, na poręczach mostów, barjerach grobli, na drobnych igiełkach jałowcu, w dymie kominów, w oddechu, mrożonym przez wiatr.

Władkowi robi się gorąco, strasznie gorąco.

Cugowe rwą. Z pod nóg ich leci chmara śnieżnych grudek i wali prosto w twarz.

Ale to nie grzeje wcale.

Rozłożyste sanie na szerokich płazach suną po gładkiej drodze z szaloną szybkością. Ostry pęd powietrza zawija dookoła głowy młynka i tnie na odlew po policzkach, uszach i karku.

Z nim do szpiku kości przenika jedynie chłód.

Brwi i rzęsy tężeją i krzepną. Nad górną wargą, na podbródku, na barankowym kołnierzu węgierkim osiada zamróz siwy, niby ów mech z bajki, w kędzierzawe ze srebra niteczki. Palce rąk, trzymające powody, grabieją.

Żar skądinąd idzie, zupełnie skądinąd i roztapia w żyłach krew.

Jakgdyby koło Władka, ramię przy ramieniu, kraśna na tle zimowego pejzażu, siedziała jeszcze Ira.

Jakgdyby jej małe serduszko pukało tuż przy nim, obok.

Jakgdyby jej małe serduszko pukało tuż przy nim, obok.

Jakgdyby rubin jej liczka rzucał na niego zarzewie.

Jakgdyby od niej ku niemu buchały wary.

I zdało mu się, że istotnie pędzą tak w dal, we dwoje.

Otacza ich leciuchny tuman lodowy, pokrywa mgła wilgotnego kurzu, wlecze się za nimi długie, przejrzyste pasmo wstrząśniętej ciszy.

kto dąży nie wedle tego lub innego programu, ten w oczach ogółu uchodzi za zbrodniarza.

A jednak i do nas trafiła wreszcie Myśl Wolna, czy też tylko zbudziła się z chwilowej drzemki. Od sfer najniższych ku górze idą jej prądy i w zmartwiałym ciele społecznym budzą drgnienia życia. Możemy powiedzieć, wraz z Swiętochowskim, że nigdy jeszcze u nas ta Wolna Myśl nie podnosiła głowy do góry tak dumnie i nie przemawiała tak śmiało. Bo czyż może być większa boleść nad świadomość, że gniecie rodak rodaka, że Kain swojskie przybiera oblicze i że swojskie są te Herostraty, pragnące puścić z dymem gmach i tak niezbyt rozległy naszej duchowości!

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Zmęczony swym powściągliwym milczeniem w Poznaniu (boć chyba z milczeniem równać się może mowa, opracowana zawczasu przez kanclerza), cesarz Wilhelm wygadał się do syta w swej podróży po wschodnich i zachodnich Prusach i wywołał zwykły w takich razach efekt. Seismograf giełdowy zaczął drgać konwulsyjnie, w prasie niemieckiej zakotłowało się, prasa zagraniczna zdębiała, a horyzont dyplomacji europejskiej zaczęły przeszywać nagłe błyskawice niespokojnych znaków zapytania: „Co to jest? Co to ma znaczyć?" Szybko jednak przemijają takie wrażenia. Cesarz Wilhelm już od trzydziestu dwuch lat panuje i przemawia, a nie przekonał się dotąd, że nie można panować zapomocą języka, że należy natomiast panować nad językiem.

Dzięki tym mowom, rozwiązano jednak łamigłówki, które polską i niemiecką opinję publiczną niepokoiły w przededniu uroczystości poznańskich. Przekonano się, że nie ma mowy o zmianie kursu; pozostanie ten co dawniej, jedyny możliwy pod panowaniem takiego monarchy, „kurs zygzakowaty", jak go niegdyś Harden nazywał.

W Królewcu rozkołysały fantazję cesarską wspomnienia wojen napoleońskich, wizje jego królewskich przodków i patryjotycznej królowej Luizy, więc pobrzękiwał szablą, przypominał wschodnio-pruskim pułkom, że waleczni rycerze starczyć winni za mury twierdzy królewieckiej, wzywał kobiety niemieckie do spełnienia swej powinności, t. j. hodowania rekrutów, uznał się za narzędzie Boga, wywyższone ponad wszystkie sejmy, parlamenty, głosy opinji i uchwały ludowe, i niemal stworzył nowy dogmat, żądając, by każdy prawy chrześcijanin w tę boską misję Hohenzollernów uwierzył. Tak hałaśliwe obwoływanie sojuszu Opatrzności z trójprzymierzem zrobiło w Europie, w danej chwili, tym gorsze wrażenie, że równocześnie pomiędzy Francją i Niemcami nie urzędowo, lecz żywiołowo nastąpiło zaostrzenie stosunków. Zdumiewające tryumfy francuskiego lotnictwa w czasie wspaniałego Circui de l'Est upoiły narodową dumę Francuzów, otwierając przed nimi dosłownie niebosiężne perspektywy potęgi, a rozdrażniły sąsiadów z nad Renu, zazdrośnie i podejrzliwie śledzących szybujące tuż nad granicą niemiecką samoloty. Wrogi nastrój potęgowały obchody czterdziestej rocznicy zwycięztw pruskich, francuskiego pogromu, nie zrealizowanej idei odwetu. I oto, jednym krasomówczym galopem, zaryzykował koronowany speaker zmobilizowanie wewnętrznych i zewnętrznych swych wrogów. Niemiecka prasa wybuchnęła oburzeniem; socjalistyczna domagała się natychmiastowego zwołania nadzwyczajnej sesji parlamentu dla wyjaśnienia „boskiemu narzędziu", jaki jest jego istotny stosunek do woli ludu. opinji publicznej i ciał prawodawczych.

Jeszcze nie zdołano ochłonąć z pierwszego wrażenia, gdy nowa mowa, wypowiedziana w Malborgu, nową zgotowała niespodziankę. Tu źródłem natchnień stały się pamiątki po zakonie krzyżowym, nierozdzielność niemieckości i chrześcijaństwa, pruskiego orła z krzyżem. Z krzyżackich tradycji wysnuł cesarz obowiązek braterskiej miłości między wyznaniami i szczepami, *pozostawienia każdemu szczepowi jego właściwości i odrębności* (Eigenheit und Eigenart).

Mistrze krzyżaccy, których portrety zdobią wielką salę zamkową, nigdy za życia nie ubawili się tak wesoło, jak słuchając tej mowy, jaką ich, w 500-tną rocznicę Grunwaldu, ufetował ich ideowy spadkobierca. Osobowego rodzaju kondolencja za krakowskie obchody!

Mniej efektownym, ale więcej znaczącym był inny ustęp tejże mowy, w którym Wilhelm Wędrowny

---

Bulgocze w niej coś, burzy się, kipi; brzęczą blaszane dzwoneczki, ale do nich obojga nie dochodzi z tego nic.

Żaden dźwięk, żaden kształt!

Ona, pochylona naprzód, zakrywa mufką usteczka i pod przymrużonymi powiekami chowa swoje jasne oczy.

Tylko te włosy, tylko te, z pod lisiej czapeczki wymykające się krucze sploty, muskają go po skroni.

I on je czuje wyraźnie.

On je czuje całą wrażliwością i ciała i duszy, on je czuje, jak nieodzowną treść swojego własnego ja. Jak jakiś w jego życie wrosły głęboko kwiat, duszący splotami najtajniejsze kryjówki i uczuć i myśli i woli, gotowy kwitnąć szczęściem lub więdnąć męką cierpienia i iść za nim nieodstępny, niby cień, wszędzie w ślad.

Jak żal, jak tęsknota, jak sumienie...

. . . .

Sumienie?!

Orwicz szarpnął się nagłym ruchem i siadł na kozetce.

— Kto tu mówił o sumieniu?... Kto tu o nim wspominał?!...

Lękliwym wzrokiem potoczył dookoła.

Ale znajdował się w buduarze sam. Wszystko wyglądało po dawnemu, jak zwykle, jak przed minutą.

Otaczały go łagodne półtony.

Brokaty, adamaszki, brązy, złoto kosztownych obramowań, atłas mebli, dyskretne światełka na liściach palm i tylko lampa z ponsowym abażurem w rogu i cisza...

Stamtąd, zza kotary, zza tych drzwi trwożą ją żywsze odgłosy.

Jakiś rozhuśtany walc... Szelesty sukien dam... Zdławione śmiechy... Zduszony gwar...

Bal!

Zmora wspomnień opuszcza Orwicza na chwilę; on by już nawet z niej drwił.

Naturalnie, że drwił...

Tymczasem sięga do kieszeni i batystową chustką ociera sobie pot z czoła.

— Spokoju!... Równowagi!... Zastanowienia!... Szczególnie zastanowienia!...

Tak, zastanowienia.

Bo czyżby ten Władek to on?

Boże!... Ira!... Biedna dziewczyna!...

Miała taki nieprzeparty wdzięk prostoty polnego kwiatuszka przy drodze.

Lecz on, w takim wieku, z takimi stosunkami, wśród takich warunków... on, on nie mógł inaczej, że-

przedstawił się towarzystwu, jako właściciel ziemski, klasowo uświadomiony agrarjusz, „podzielający wszystkie troski i radości rolnika". Istotnie, *troski* uciśnionych junkrów pruskich są tego rodzaju, że nawet monarcha może chętnie przypisać się do współki. Kto wie, czy w tych wszystkich wynurzeniach publicznych nie należałoby widzieć pewnego rodzaju agitacji przedwyborczej, mającej na celu skupienie wszystkich dobrze myślących żywiołów wkoło osoby cesarza i zgotowanie nowej klęski socjalistom.

Niebezpieczeństwo z tej strony nie grozi im bynajmniej; przeciwnie, nieobliczana polityka cesarza przyczynia się do tego, że partja zdobywa wciąż nowe placówki i idzie pewnym krokiem do niechybnego zwycięztwa w najbliższej kampanji wyborczej. Najcięższa próba dla niej zacznie się dopiero po zwycięztwie i zachodzi pytanie, czy z niej wyjdzie cało, czy będzie mogła i umiała przejść od opozycyjnej roli hamulca do czynnej roli motoru. Stanie się to, jeśli równolegle z rozrostem dokona się przełom wewnętrzny, który ją wyrwie ze skostniałego dogmatyzmu i pchnie na nowe tory. Początek w tym kierunku uczynili socjaliści południowo-niemieccy, w szczególności badeńscy, którzy na ostatnim swym zjeździe wyrazili zupełne uznanie swej sejmowej reprezentacji za jej stanowisko względem krajowego ministerjum. Uchwała ta jest przegrywką do walki, jaka się stoczyć musi na ogólno-partyjnym zjeździe w Magdeburgu między rewizjonizmem a ortodoksyjnym marksizmem. Rezultat jej rozstrzygnie kwestją zasadniczej wagi dla całego wewnętrznego rozwoju Niemiec.

Mikroskopijne księstwo czarnogórskie przeżyło wielce świąteczne dnie: ogłosiło się królestwem, ku jednomyślnej uciesze Rosji, Włoch, Austrji, Serbji, Bulgarji — wszystkich dalszych i bliższych sąsiadów. Ta dziwna zgodność sentymentów trójprzymierza i trójporozumienia wraz z ich setelitami tłumaczy się niewielką doniosłością praktyczną samego faktu.

Fatalny brak.

W życiu społeczeństw cywilizowanych pierwszorzędną rolę odgrywają stronnictwa demokratyczne, nie narodowo-, nie socjalno-, nie chrześciańsko-demokratyczne, lecz poprostu demokratyczne, bez przymiotnika. Sam wyraz „demokracja", jako tytuł stronnictwa, spotyka się względnie rzadko, lecz za to ideologja, czysto demokratyczna, przenika wszystkie te partje radykalne, republikańskie, pracy, niezależnie socjalistyczne, o których ciągle czytamy w telegramach lub w sprawozdaniach z wyborów, lecz z istoty których nie zdajemy sobie sprawy. Istota ta da się jednak z łatwością ująć w trzech cechach charakterystycznych: 1-o polityczne ludowładztwo, panowanie parlamentaryzmu, przeświadczenie, że z chwilą osiągnięcia politycznej wolności i równości, *rewolucyjny* okres historji wewnętrznej jest raz na zawsze zamknięty i rozpoczyna się okres *ewolucyjnego* postępu, którego twórcą i prawodawcą jest sam ogół obywateli, 2-o wolnomyślność religijna, która ludziom wskazuje cele doczesne, ziemskie i pod wpływem której rozkładają się nawet ukonstytuowane wyznania, wytwarzając przeróżne odmiany wierzącego antyklerykalizmu i religijnego reformizmu; 3-o wolnomyślność społeczna, która w dążenie do wszechstronnego udoskonalenia ludzkości wprowadza czynniki krytycyzmu i doświadczenia i pod wpływem której rozkładają się sekty społeczne, o religijnym sposobie myślenia, wytwarzając przeróżne odmiany etycznie ewolucyjnego indywidualizmu i reformistycznego, czy rewizjonistycznego socjalizmu.

Te trzy cechy zasadnicze odnajdujemy w stronnictwach, kierujących wszystkimi, zdrowo rozwijającymi się, demokracjami. Prostacki materjalizm, nie negując tego faktu, który można wprawdzie przemilczać, lecz którego zaprzeczać niepodobna, dowodzi, iż jest on rezultatem pewnego fatalnego kompromisu: reakcjoniści ciągną w prawo, rewolucjoniści społeczni — w lewo, wskutek czego wóz ogólny toczy się po jakiejś środkowej przekątnej, z której nikt nie jest zadowolony. Tego rodzaju tłumaczenie jest najbardziej oddalone od rzeczywistości, gdyż i społeczeństwo ludzkie jest najbardziej oddalone od ciał martwych i oświetlić je mogą raczej analogje bio—psychologiczne. To też, im bardziej społeczeństwo jest rozwinięte, tym bardziej droga, po której kroczy ono, jest rezultatem woli świadomego swoich celów ogółu. Pomiędzy przekątną, która sama się znalazła na skutek targań w różne strony, a pomiędzy taką przekątną, na którą większość świadomie skierowała ogólną nawę — jest cała otchłań różnic, taka, jaką dzieli agregat od organizmu, kupę kamieni od człowieka. I istotnie niepodobna sobie wyobrazić żadnego nowożytnego narodu

---

by nie wiem jak pragnął, żeby nie wiem jak chciał!

To było już tam, gdzieś u góry napisane, bo wypadł mu już taki los. Anna von Hütten musiała zostać jego żoną i została, i jest, i nie opuści go aż do śmierci!

Ta inna zaś..

Bah! To nie on, to ten stary kapral, ten niby leśniczy, osadzony, licho wie czemu, w leśniczówce!

Powinienby chyba cenić taki... taki smaczny, łaskawy chleb!

Głupi dziad!

Ciągnęła się owa historja przez całe trzy pokolenia, lecz dziadul krzyżyk dziewiąty przekroczył i pamięć jej chował w szramach i szwach.

Virtuti militari miał, widział ognie, pożogi i mord, sterał się, zwiądł; zdało się: czas mu już za piecem wysiadywać, różaniec liczyć, tymczasem...

Niech aby wiosną lody stopnieją, niech liść się zazieleni, już mu ani ustać, ani usiedzieć, ani uleżeć nijako.

Kłuje go to tu, to tam, łamie, skręca — a on nic.

Miną nadrabia — zucha udaje.

Wąsiska siwe szarpie, brwi kraczaste stroszy, dwururkę opatruje i, nim się człek obejrzy: myk z izby i hajda do lasu.

Ho, ho!.. Czy to dla niego pierwszyzna?!

Gorzej bywało jeszcze, znacznie gorzej, całkiem nieraz źle

Deszcz oto, plucha, wicher, głód, chłód. Przycupną gdzie pod choiną, dawaj który w mech wilgotny dąć, a tu buch ze wsi:

— Idą!

He, he!...

Ledwo czasu starczyło koziołek dnem do góry wywrócić, w krzaczek się wszyć, na cel wziąć...

Dobrze jeszcze jak las za człowiekiem stał.

Hi, hi!...

A w Krasnojarsku, na etapie, gdzie ich do kłody skuto, jak psów i, niby stado baranów, pędzono przez step!

Wielki Boże!

Zresztą, co tu gadać!...

Przyjdzie jeszcze czas!

Opasła Chłędowska, gospodarstwa sierocego doglądająca, nie mogła znieść takich zapowiedzi.

— Et, bo też jegomość raz by sobie tę sprawę wyrozumiał jak należy, a nie wiecznie jedno i to samo plótł! Były lata, byli ludzie, a teraz to co?

Spoufaliła się kobieta.

bez stronnictwa, dającego świadomie syntezę ogólnego rozwoju i dążącego do skierowania ogółu po drodze zgodnej z tą syntezą, a faktyczny przebieg wypadków coraz bardziej zbliża się do tego rodzaju zabiegów i przewidywań. Czy weźmiemy Anglję z jej nieteoretyzującym empiryzmem, czy Francję z jej jaskrawością logiczną, czy świetnie odradzające się Włochy, czy też małe demokracje europejskie—wszędzie znajdziemy na powierzchni życia wolność polityczną, wolnomyślność religijną i reformizm socjalny; w tej trójjedynej formule, świadomie pojmowanej i świadomie wykonywanej, odnajdujemy klucz syntezy rozwojowej współczesnego społeczeństwa.

Dociera ona nawet do takich nieszczęśliwych krajów, jak Hiszpanja, które zdawały się być wiecznym przytułkiem reakcji i rewolucji, krwawo walczących na grzbiecie narodu, a jej rzecznikami i wykonawcami są te wszystkie partje radykalne, republikańskie, liberalne, które mają zwolenników w ludzie i w armji, wśród biednych i bogatych. Oczywista rzecz, że pojęcie syntezy rozwojowej i organizacja stronnictwa, na tym pojęciu opartego, muszą istnieć dużo wcześniej, zanim fakt syntezy narzuci się zwycięzko całemu ogółowi.

Tego rodzaju ośrodki partyjne, dla których wolność polityczna jest sprawą pierwszorzędnej wagi, ich pierwszą i zasadniczą cechą, osiągną w końcu ten cel, otwierając pole dla dalszych przeobrażeń, którym zresztą ich empiryczne-krytyczna metoda zawczasu przygotowuje grunt. Należałoby raz na zawsze stracić nadzieję zapanowania wolności politycznej w Rosji i Niemczech, gdyby nadal tak, jak dotąd, miała ona być nieprzewidzianym rezultatem żywiołowych walk, ową przekątnią, która się sama „jakoś" znajduje. Dopiero z chwilą powstania w tych krajach prądów, syntetyzujących ogólny rozwój, można sią tam spodziewać odrodzenia politycznego i bujnego rozwoju społecznego. Ani bezduszny konserwatyzm, ani społeczne konwulsje przewrotowe lub fanatyczna wiara w złoty wiek ludzkości — nadziei tych uprawniać nie mogły.

Jerzy Kurnatowski.

Francja współczesna.

Bilans czterdziestu lat.

I.

Dnia 4 września 1870 r., wśród rozprzężenia i paniki, gdy wieści hiobowe o tryumfalnym pochodzie Niemców raz po raz biły piorunem w stolicę—obalono Cesarstwo i na jego gruzach stanęła III-cia Rzeczpospolita.

Od tej chwili, Francja, powalona o ziem, wyczerpana strasznym upustem krwi, zmącona do dna wojną domową, Francja, której wróżono zagładę zupełną, a przynajmniej długotrwały zastój—poczyna dźwigać się potężnie, rozkwitać, doskonalić—i oto dziś, po latach czterdziestu, w konstelacji państw i narodów świeci, jako gwiazda pierwszej wielkości.

Nic piękniejszego i bardziej krzepiącego, jak obraz narodu, co się ze swych popiołów, jak feniks, odradza—i zwłaszcza my, Polacy, winniśmy ten obraz mieć przed oczami i pilnie się weń wpatrywać. Pewne zestawienia, pewne porównawcze studja, pewne wnioski realne przydać się mogą niezmiernie, zwłaszcza tam, gdzie panuje wszechwładnie albo mistyczna kontemplacja, albo niemniej mistyczna wiara w apokaliptyczny koniec świata biurokracji i „burżuazji", Tymczasem jednak przeciętna opinja polska, odstręczana od Francji republikańskiej tysiącznymi bredniami, woli imitować Hiszpanję pana Maury (nie zaś Canalejasa), lub Niemcy socjalistyczno-junkierskie. Wina to w pierwszym rzędzie uwstecznienia naszej opinji. Odkąd republika wolnomyślna stała się *la bête noire* zjednoczonej w Rzymie papieskim i w Częstochowie Beocji i Abdery—niemasz tak potwornej bredni, tak niedorzecznego wymysłu, tak nieprawdopodobnych oskarżeń, którychby w tej kuźni nie ukuto i którychby pobożne nasze kurjerki wlot nie podchwyciły. A wtóruje im, z lewego krańca, od pewnego czasu, chór dogmatyków marksizmu, którym znów radykalizm francuski stanął kością w gardle, nie dając przełknąć codziennej porcji apokalipsy przewrotowej. Gdy tamci prorokują co dnia przywrócenie monarchji katolickiej, a co najmniej upadek „rządów masońskich", ci znów *urbi et orbi* wołają, że Francja stoi na wulkanie, w przededniu socjalnej rewolucji. Jedni i drudzy tropią w organizmie republikańskim ślady śmiertelnej

---

Ha! Nic dziwnego! Na ręce jej przecież padli, niczem niemowlęta; pieczę o nich musiała mieć.

Pod boki wesprze się nieraz, wyprostuje hardo.

— Z grabiami kto na armaty pójdzie, czy jak?

Spoglądał na nią z podełba, spoglądał uważnie, podejrzliwie, w końcu jednak ramionami tylko wzruszał i z pogardą pluł.

— Jużciż, jakby babom wypadło, to tak!

Miał dużo do nadmienienia, lecz: komu to tu, komu?...

He, he, he!...

Byli ludzie, były czasy!

...Stoją ot, w przedniej linji.

Dokucza spieka. Słońce praży. Czuć proch.

Zza pagórków bucha kłębuszkami dym. Po polach idzie takie: paf, paf, paf!...

Naraz: bum!... i na płaską równinę pada granat.

Pada i wierci się bestja, niby fryga, niby bąk.

A za tym pierwszym warczy drugi, trzeci, czwarty...

Namacali ścierwy pozycję i walą jak w cel.

Linja się szczerbi, kurczy, kotłuje.

Górą wyje śmierć, dołem bluzga krew: to ten, to ów wywraca koziołka i kładą się ludzie, niczem kłosy.

He, he, he! ..

Wtem komenda:

— Za mną psiekrwie!

I bataljon zrywa się, niby stado kuropatew do lotu i przez doły, rowy, kamienie sadzi jak wściekły z bagnetami na redutę.

Wielki Boże! Mocny Panie!

Połowa ich tylko doleciała, połowa!

Major zabit, porucznik padł...

Ale były czasy, byli ludzie.

Armaty gołymi rękami brali.

Pochylał się potem ku zarzewiu, długo w nie patrzał osowiały, długo w nim grzebał; węgielka szukał do fajki.

Zginął pułkownik, zginęli inni, niby kamyki rzucane w wodę — bez śladu, a ledwo stary z więzienia pruskiego wrócił, już czekali na niego nowi towarzysze.

He, he!. .

I znowuż szli, razem szli; za wolność pod kule, na armaty.

Marli tam i padali jak muchy; koście ich tuliła tundra, lecz w domu dorastał wnuk pułkownika i starego kaprala wnuczka.

(D. N.)

choroby, jedni i drudzy zamykają oczy uparcie na to, co w tym organizmie właśnie dowodzi potężnej siły żywotnej i co jest godne najwyższego uznania i podziwu.

Wśród takich bałamutnych i sprzecznych opowieści, nic trudniejszego, jak bezstronne studjum, oparte na ścisłych danych, dobrze statystyką obramowane. Aby raz na zawsze fałszom wierutnym kres położyć, a zarazem dać naszym pionierom kultury w ręce garść przydatnych informacji i nieco wskazań do samodzielnych wniosków, zadałem sobie trud skondensowania w zwięzłym szkicu sporego materjału, który czerpię głównie z dziełka pp. Delpech i Lamy p. t. *La France sous la Troisième Republique*, wydanego w r. 1906 i rozpowszechnionego w 200 tysięcy egzemplarzy. W dziale ekonomicznym uzupełniam okres 1905-1909 według pracy E. Kaufmana p. t. *Die Entwickelung der französischen Volkswirtschaft in den letzten Jahrzehnten* w 29-ym tomie wydawnictwa Sombarta i Webera *Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik*, skąd niektóre pożyteczne dane przytoczył p. B. Rozstański na łamach *Nowej Gazety* [1]), Dorobek 40 lat pracy republikańskiej i postępowej zestawiam ze smutną spuścizną po II-em Cesarstwie, będącym, jak wiadomo, sojuszem „zakrystji z kordegardą", a więc czymś, co po dziś dzień cieszy się w przeciętnej polskiej parafji rzetelnym poważaniem. Nie moja wina, jeśli to zestawienie wypadnie nie po myśli przysięgłych kustoszów tudzież konserwatorów naszej opinji. Nie moja też wina, jeśli faktom i cyfrom przeciwstawią oni fałsz i mistyczne majaczenia.

W niniejszym szkicu rozpatrzę kolejno dorobek republikański w dziedzinie społecznej, ekonomicznej i finansowej, dając w końcu ogólny rzut oka na bilans Francji początku XX wieku.

* * *

W państwie demokratycznym i postępowym oświata jest nieustającą troską rządu, jedną z najpierwszych funkcji państwowych. Dając obywatelom w ręce biuletyn wyborczy, Rzeczpospolita nie byłaby sobą, gdyby nie dała im zarazem sposobu pojmowania wszystkich zjawisk przyrodzonego i politycznego świata.

Prawo z r. 1881 orzekło, że nauczanie winno być powszechne, obowiązkowe, i co za tem idzie, *bezpłatne*. Ostatni budżet Cesarstwa w r. 1869 przeznaczał na szkoły 38 mil. fr. W r. 1905 wyasygnowano na ten cel 237 miljonów, czyli sześć razy więcej, przyczym do szkół uczęszczało 4300000 dzieci obojga płci. W ciągu 35 lat zbudowano 25000 nowych szkół kosztem 800 miljonów fr. W r. 1870 było we Francji—naówczas katolickiej i zachowawczej-25% analfabetów mężczyzn i 38% kobiet, nie umiejących czytać. W ciągu niewielu lat odsetek ów spadł do 4% i 7%, odkąd w kraju rządzą bezbożnicy.

Liczba uczniów szkół średnich ze 69000 wzrosła w tym czasie do 100000. Studentów było we Francji 6000 przed 40 laty; obecnie jest ich 35000, przyczym niektóre wszechnice francuskie cieszą się światowym rozgłosem i ściągają młodzież z całej kuli ziemskiej. Oparta na głosowaniu powszechnym, jest Republika francuska wyrazem świadomej woli większości wyborców, nic też dziwnego, że specjalną darzy uwagą te szerokie masy ludu pracującego, z którego wyszła. Jeśli w zaraniu ery republikańskiej byli tacy, co wierzyli wraz z Thiers'em, że Francja ludowa może być zachowawczą—to rychło prysły te nadzieje. Rzeczpospolita zachowawcza—*c'est une bêtise*! określił polityk postępowy (J. J. Weiss). Rzeczpospolita nie jest nawet liberalną w ścisłym znaczeniu tego słowa, gdyż wobec krzywd i upośledzeń społecznych nie trwa w zimno-neutralnej postawie, jak tego chciała dewiza liberałów: *laissez faire, laissez passer*... Rzeczpospolita jest *radykalną*; inną być nie może z racji swojej struktury społecznej, swych urządzeń, swojej idei przewodniej, wreszcie ducha postępu i wzajemnej solidarności, który ją od góry do dołu przenika.

Ten duch sprawia, że w zakresie prawnego unormowania krzywd i nierówności zrobiono we Francji tyle, że muszę poprzestać, dla braku miejsca, na pobieżnym jeno wykazie.

W r. 1891 weszła w życie jedna z najszczytniejszych idei humanitarnych, prawo o *warunkowym uwolnieniu* (*loi Bérenger*); trudno określić, ile miljonów nieszczęśliwców uchroniło to prawo od hańby, więzienia i recydywy. Jest to pierwszy bodaj przykład prawnego stosowania *chrześcijańskiej zasady litości*, deptanej zazwyczaj nogami przez arcyreligijne państwa, a podniesionej na wysokość prawa przez „masoński" rząd bezbożnego narodu... Prawo o *rozwodzie* z r. 1884 stawia małżonków na stopie zupełnej równości. Prawo z r. 1889 (opieka nad dziećmi) ukróca samowolę względem małoletnich, pozwalając państwu kłaść hamulec na rodziców okrutnych, albo wyrodnych. Prawo z r. 1896 przyznaje dzieciom naturalnym zdolność dziedziczenia; w r. ubiegłym wniesiono projekt prawa, które ma obalić zakaz dochodzenia ojcowstwa. Prawo z r. 1874 nakłada na państwo obowiązek opieki nad dziećmi poniżej lat 2, chowających się poza domem. Skutkiem tego, śmiertelność wśród niemowląt spadła o 25%.

W r. 1905 stworzono *service public de solidarité sociale*, urządzenie, które zapewnia pomoc materjalną każdemu Francuzowi bez środków do życia, bądź starszemu nad 70 lat, bądź dotkniętemu chorobą lub kalectwem. Skarb łoży na ten cel 56 miljonów rocznie, a nadto pokaźne sumy asygnują departamenty i gminy. Z tego prawa korzysta 350000 osób; tu zauważyć należy, że to wszystko byłoby po dziś dzień mrzonką, gdyby nie *rozdział kościoła od Państwa*, czyli zniesienie t. zw. budżetu wyznań (55 miljonów rocznie), który zapewniał utrzymanie 60 tysiącom darmozjadów, w dodatku wrogo do Rzeczypospolitej nastrojonych i przeciwdziałających jej ze wszech sił...

Wkraczamy w zakres prawodawstwa robotniczego. Prawo z r. 1884, zabezpieczając istnienie prawne związków zawodowych, kładzie w ręce mas potężną dźwignię solidarności ku „skutecznej obronie ich interesów ekonomicznych". To też liczba robotników zorganizowanych ze 130000 w r. 1890 wzrosła do 800000 w ciągu niespełna lat 20 i stanowi dziś 16% ogółu robotników, co zbliża się do niemieckiej i angielskiej normy. Organy związków zawodowych (giełdy pracy), w liczbie 111, otrzymują od państwa 3 milj. fr. rocznej zapomogi. Nadto związki robotników rolnych r. 30 w r. 1885 wzrosły do liczby 2761, grupując 650000 uczestników. Środki co do hygieny i bezpieczeństwa robotników ujęto w pokaźny szereg praw, których tu nie sposób wyszczególniać... Prawo z r. 1893 określa odpowiedzialność za wypadki przy pracy; w r. 1891 zaczyna funkcjonować specjalny Urząd (*office du Travail*), podniesiony przez J. Clemenceau w r. 1906 do godności Ministerjum Pracy. W r. 1902 ustanowiono przymusową dezynfekcję fabryk i lokali, mogących gromadzić chorych zakaźnych; od r. 1892 działa instytucja *sądów rozjemczych* w zatargach zarobkowych.

W r. 1894 zajęto się wznoszeniem tanich mieszkań i dzięki poparciu państwa, w r. 1900 działało we Francji 61 stowarzyszeń tego rodzaju, które pobudowały 1907 domów i willi dla 4650 rodzin, czyli 15000 osób kosztem 17 miljonów franków. Rozwój tych stowarzyszeń idzie *crescendo*: w r. 1902 przeznaczono 4 miljony na budowę tanich mieszkań. Wobec straszliwie zaognionej dziś kwestji mieszkaniowej w Warszawie i Łodzi, nieźle by było wziąć przykład od Francu-

[1] „Rozwój ekonomiczny Francji w ostatnim dziesięcioleciu". Dod. *Nauka i Życie*, Nr. 11.

zów, zamiast czekać na zmiłowanie boże lub ekspropriację wszystkich kamieniczników.

Wślad za tem prwodawstwem idą kasy przezorności i samopomocy, istotna chluba Francji, przejętej szlachetną, acz zupełnie pozytywną myślą ulżenia cierpień ludzkości w *życiu doczesnym*. W r. 1895 powstają na mocy prawa i przy czynnym poparciu państwa trzy kategorje kas oszczędności, emerytur, pomocy i przezorności dla robotników i oficjalistów. Ustanowiono specjalny kredyt na zasilek roczny dla rodzin, liczniejszych nad 5 osób; nadto połowę kapitałów, osiągniętych ze sprzedaży insygniów i klejnotów koronnych, Rzeczpospolita przeznacza na bonifikację pensji robotników-inwalidów.

Samopomoc francuska (*La mutualité française*) w r. 1905 liczyła 16000 stowarzyszeń, posiadających łącznie 3.000.000 członków czynnych i 400 miljonów fr. kapitału. Ogółem suma złożonych oszczędności i wkładów przekroczyła w r. 1902-ym 4 miljardy 390 miljonów fr., sięgając bez mała sumy pamiętnej kontrybucji, którą Bismark chciał raz na zawsze zrujnować kraj, pełny naówczas krwi, zamętu i gruzów.

Tedy krótki bilans postępu społecznego tak się przedstawia w zarysie: ograniczenie pracy dzieci i kobiet, ochrona moralnie zaniedbanych dzieci, opieka nad niemowlętami, inspekcja fabryczna, ubezpieczenie prawne od wypadków, kontrola hygieniczna, instytucja wyższej rady hygieny fabrycznej, instytucja tanich mieszkań, bezpłatna pomoc lekarska na wsi, popieranie związków zawodowych, zniesienie książek służbowych robotniczych, instytucja giełd pracy, prawo o sądach rozjemczych, zakaz sekwestrowania płacy zarobkowej, rozwój solidarności i samopomocy i t. d. W ciągu lat ostatnich weszło w życie prawo o *odpoczynku tygodniowym*, zaś wieńczy tę całą budowę społeczną najnowsze prawo o emeryturach robotniczych, które stanowi, że „każdy robotnik lub oficjalista korzystać może z pensji dożywotnej od lat 60...”; według zaś danych statystycznych na 3 robotników—2 korzystać będą z pomocy, której świadome i wolne społeczeństwo udziela najsłabszym swym członkom.

W odróżnieniu od państw, jak Prusy i Rosja, gdzie *socjalizm państwowy* żyje w potwornym konkubinacie z monarchją na poły feudalną, zauważyć się godzi, że reformy francuskie są wyrazem tej pełni świadomości społecznej, jaka może powstać i rozwinąć się tylko na tle *zupełnej politycznej wolności i równości*. Dzisiejsza kultura francuska rozkwitła z jednej strony na gruncie swobód obywatelskich (wolność zebrań, prasy, zrzeszeń i sumienia), a z drugiej—na gruncie materjalnego dobrobytu, o którym będzie mowa w następnym artykule.

Leon Gorecki.

Puszczyki z lewicy.

Walka, tocząca się obecnie w obozach socjalistycznych wszystkich krajów między prawowiernymi wyznawcami doktryny, stanowiącymi coraz ciaśniejszą sektę, a partjami robotniczymi, zrywającymi się do pozytywnej akcji politycznej i przetwarzającymi się w czynnik twórczy życia narodowego, u nas, skutkiem specjalnych warunków bytu, przybiera coraz potworniejsze kształty.

Ze stanowiska nieruchomego, skostniałego dogmatu wynikać musi bezwzględne przeciwstawianie się wszystkim i wszystkiemu, nietylko przeszłości i teraźniejszości, lecz nawet przyszłości, o ile ona się rodzi, powstaje, rozwija poza formułką, dla niej w księgach świętych przepisaną. Tak samo bowiem, jak katolicyzm, socjalizm prawowierny ma, prócz gotowego, wszystkich wyznawców obowiązującego katechizmu i Stary Testament, i własną ewangielję, i swoją Apokalipsę. Nie wolno wierzyć, aby kiedykolwiek działo się, lub dziać miało w przyszłości coś takiego, coby śmiało zaprzeczać doktrynie. Fakty, które się w jej ramach nie mieszczą lub do nich nie dadzą naciągnąć, uważa się za niebyłe, ludzi myślących, czujących i działających wbrew jej przewidywaniom — potępia się, jako fałszywych proroków lub odstępców. Sypią się na nich ekskomuniki, niemniej namaszczone niż te, które padają z kazalnic.

Skutkiem tego zasklepiania się w skostniałym sekciarstwie, w obrębie obozów socjalistycznych wytwarzają się ośrodki reakcji, stanowiące dla partji najniebezpieczniejszy hamulec do spełnienia jej historycznej roli, jako prądu wyzwoleńczego mas robotniczych.

Poza królestwem niebieskim socjalistycznego ustroju — nie wolno im dążyć do niczego innego; dopiero, gdy to osiągną, reszta dodana im będzie. Nie wolno zatym socjalistom belgijskim obalać klerykalnych rządów, wespół z liberałami; w socjalistycznym państwie klerykalizm zniknie sam przez się. Nie wolno badeńskim socjalistom popierać gabinetu, który przeprowadza korzystne dla mas pracujących reformy, nie wolno niemieckim łączyć się z partjami wolnomyślnymi i ludowymi, dla obalenia junkiersko-klerykalnej kliki.

Polskim socjalistom daje się jeszcze bardziej przeciwne naturze zakazy. Ich przeciwstawianie się wszystkim, tak zwanym burżuazyjnym partjom nie może dotyczyć opozycji przeciw budżetowi, negowania potrzeb państwa, obrony krajowej i t. d. Polska państwowość nie istnieje, nie jest narzędziem wyzysku kapitalistycznego, nie jest więc pozytywną przeszkodą do wprowadzenia socjalistycznego ustroju. Całość i jedność narodu polskiego, nie objęta granicami, nie obwarowana siłą zbrojną, tkwi wyłącznie w sferze moralnej. Podstawa jej—to nie zewnętrzny węzeł przynależności państwowej, lecz wewnętrzna spójnia przynależności narodowej. W niej jednej objawia się dziś osobowość zbiorowa, narodowe *ja* Polski.

Jest ono—jak każde wysoko rozwinięte *ja*, wielostronne i złożone. W skład jego wchodzi i dzisiejszy wysiłek i wspomnienie minionego wczoraj, i tęsknota za jutrem, i świadomość nieustanna dojmującego głodu i męki. Zbiorowa dusza cierpi i pragnie, pracuje i walczy, a motywem jej pracy i walki jest wiara, że cierpienia pokona, pragnienia nasyci.

Nasi sekciarze marksizmu z zapalczywą nienawiścią uderzają w tę zbiorową duszę. Usiłują ją uśmiercić, a nie mając żadnych innych ku temu środków, uciekają się do suggestji, wmawiają w nią, że już umarła. Drwią z jej wysiłków, wyszydzają jej wiarę, złośliwie obgryzają jej skrzydła i urągają jej bezsilności.

Jest coś poprostu ohydnego w tym bezkarnym znęcaniu się ordynarnych klownów nad wielką tragiedją dziejową.

Oto, np., jakiś pan Kamieński, pisząc o ostatnim dziele Żeromskiego, z arogancką poufałością klepie autora po ramieniu i wyraża mu protekcjonalne politowanie, że pióro swoje i talent poświęca straconej sprawie:

„Każdy wypadek z życia polskiego — pisze — każdy cios polityczny jest jakby uderzeniem po zbolałych strunach jego serca, wywołującym w nich czarną pieśń o śmiesznej (!?) polskiej nędzy”.

„Historja zapomniała o sprawie polskiej, zapomnieli o niej i rodacy. Ostatnia wielka nawałnica, która przeszła nad krajem, sprawy polskiej nie wydźwignęła. Klasy posiadające odstrychnęły się od niej, klasa pracująca znalazła sobie inny, własny cel. Proporzec z białym orłem nie jest już chorągwią żadnej siły społecznej, wyobraża tylko marzenie garści bezsilnych”.

„Garści bezsilnych!” Tak; to powiedziano wyraźnie — nie w *Nowym Wremieni*, nie w *Tageblacie* poznańskim, ani w *Ostmarkskische Rundschau*, lecz w piśmie, które wydało dotąd aż 4 numery i wcale nie może być pewnym, czy wyda cztery następne, albowiem wydawcy mieli już sposobność się przekonać, że są wobec administracji miejscowej co najmniej równie bezsilni, jak obrońcy sprawy polskiej wobec Europy.

Naturalnie, autor nie przemawia imieniem tej siły, która jego pismo karami obkłada, lecz każe się domniemywać, że idea, której on broni, w przeciwieństwie do sprawy polskiej ma jakieś nieprzejrzane hufce bojowników. Nie jest tak bardzo trudno robić tłum — za sceną.

Znamy aż nadto dobrze to polityczne kuglarstwo, którego skutki bywają opłakane. Słuchaliśmy przed kilku laty aż do obrzydzenia patetycznych powoływań się na „masy”, które już są tuż, tuż i rozbiją w puch burżuazję, kapitalizm, socjal-patryjotyzm, postęp, bloki prawicowe i lewicowe, słowem, wszystko, co nie jest z nimi, więc jest przeciw nim. I oto co się okazało? *Masy* rozebrała między siebie chrześcijańska i narodowa demokracja, nie licząc tych, które bez wielkiego skutku wydzierał prawowierny marksizm znienawidzonym *socjal patryjotom*, a za krzykliwymi hasłami tych panów poszła istotnie *garstka*, którą im aż wstyd było liczyć.

Niejeden wówczas z ich własnych zwolenników doszedł do wniosku, że — zamiast udawać siłę — lepiej byłoby ją stworzyć i opuścił szeregi. Pozostali ci, co wierzą, że pantomina walki zastąpi samą walkę, więc w dalszym ciągu robią wielki harmider, by udawać tłum za kulisami. Na szczęście jest w naszym kraju arena, gdzie tłum może wejść osobiście na scenę, ale tam właśnie ci panowie, nie tyle między, ile antynarodowi — okazują się bezsilną garstką. W dniach grunwaldzkich w Krakowie, gdy próbowali urządzić swoją kontrdemonstracyjkę, ośmieszyli się, a ich właśni stronnicy nie dali się przekonać ich proklamacjom, lecz poszli za chorągwiami Daszyńskiego oglądać „*stare rupiecie* na zamku wawelskim”, jak się mile wyrazić raczyło jakieś prowincjonalne pisemko socjalistów niemieckich, z lubością cytowane przez miejscową es-decję.

Naturalnie, dla tych panów wszystko, co nam epoki minione przekazały, to jest tylko starzyzna, towar zupełnie wysortowany i wydziwić się nie mogą, że Żeromski tego punktu widzenia nie podziela, że „patrzy na prawdę dziejową — jak go łaskawie poucza mądry p. Kamieński — oczyma dzisiejszego ciasnego, umyślnie zaślepiającego się inteligienta nacjonalisty”. Osłupieć można ze zdumienia, gdy tenże głęboki krytyk przeciw Żeromskiemu ośmiela się cytować Słowackiego, a bezpośrednio potym obwołuje, że „nic nie pomoże wskrzeszanie romantyki”, bo „najpotężniej targany dzwon nie obudzi trupów”.

Mylicie się panowie; nawet trupy przewracają się w swoich grobach, gdy ich święte imię wymawiacie ustami, zaślinionymi od piany pogardliwych obelg przeciw temu, co było tchnieniem ich życia, tonem ich pieśni, bóstwem ich wiary, a nawet krakanie najwrzaskliwszych wron nie zamieni zielonej niwy w cmentarzysko.

Natchnienia Żeromskiego nie są i nawet wedle waszej teorji nie mogą być luźnym i dowolnym przypadkiem; i one „nie wyrastają z niczego” i nie obracają się w nicość. Tkwi w nich owa wiecznie odradzająca się potęga, którą radzibyście uważać za pogrzebaną, a której korzenie tak głęboko sięgają, że ich żadna siekiera ciosów zewnętrznych z ziemi polskiej nie wyrwie. Z każdym pokoleniem puszczają nowe pędy a lichy chwast, co się wkoło nich krzewi, choć je zasłania, zgłuszyć ich nie może.

I. Moszczeńska.

Zgnilizna.

Rewizje senatorskie i tak zwane familijne z wielką energją czynią operacje na powierzchni schorzałego i owrzodzonego organizmu. Niemal codzień pod cięciem lancetów senatorskich rozlewa się gnój i szerzy zaduch na znacznej przestrzeni. Po wrzodach intendeńskich przyszła kolej na policyjne i administracyjne, od których właściwie należało zacząć, gdyż pod wpływem uderzeń prasy, dawno zaczęły pękać i ujawniać niebezpieczeństwo gangreny. Już w zimie r. b. prasa rosyjska pisała opisy rzeczy niesłychanych, a dotyczących bajecznej ruchliwości i energji obywatelskiej policmajstra w Nikołajewsku na Syberji. Zdołał on w krótkim przeciągu czasu założyć aż *sto trzynaście* domów publicznych. Nie na tym jednak się kończy jego działalność: w mieście tym nie było ani jednego sklepiku, ani jednej traktjerni i restauracji, ani jednego zakładu przemysłowego, które nie płaciłyby kontrybucji policmajstrowi. Właściciel traktjerni „Moskwa” zapłacił mu dziewięć tysięcy rubli, a gdy nie chciał więcej płacić, wezwano go do policji i tak zbito kijami gumowymi, że ten wkrótce umarł w męczarniach. Był to system, stale stosowany przez policmajstra nowonikołajewskiego do zalegających w opłacie kontrybuentów; nie każdy jednak był tak słabego zdrowia i silnego uporu, jak ów nieszczęśliwy właściciel traktjerni, więc egzekucja nie kończyła się śmiercią, ale tylko opustoszeniem trzosa obywateli nowonikołajewskich. Do mężczyzn stosowano kije gumowe, do kobiet — gwałt. To też policja w tym mieście miała rajski żywot. Nawet podrzędni kanceliści policyjni stawali się fabrykantami i kapitalistami.

Z powodu tych faktów, stwierdzonych i rozgłoszonych przez całą prasę rosyjską, wybitny feljetonista, pisujący pod pseudonimem Aleksandra Jabłonowskiego, w *Kijewskiej Myśli* (nr. 59) zrobił takie zestawienie: „W Nowonikołajewsku dotąd trwa stan wojenny, pomimo, że rabunki, gwałty, napady popełniają wyłącznie policjanci. O rewolucjach, o eksproprjacjach, o zabójstwach w tym mieście nic nie wiemy. Milczą o tym wszystkie agiencje telegraficzne, wszystkie gazety, milczą wreszcie wszystkie sprawozdania o wyrokach śmierci. Prawda, niezbyt dawno w Nowonikołajewsku powieszono rabusia, który w nocy napadł na adwokata Iwanowa. Ale przy roztrząsaniu sprawy w sądzie wojennym okazało się, że napastnikiem był policjant posterunkowy, który porzuciwszy swój posterunek i połączywszy się z innymi policjantami, oddał się rabunkowi. Natomiast o innych rozbojach i napadach nic nie słychać, co pozwala wnioskować, że stan wojenny istnieje tam głównie w interesie policmajstra Wismana i jego bandy. Kogo naprawdę ochronił stan wojenny od gwałtów i nieporządków? Absolutnie nikogo. Właścicieli traktjerni pociągnięto do egzekucji, bito gumami („do śmierci lub półśmierci”), kobiety gwałcono, kupców i handlarzy rujnowano i wreszcie,dla uwieńczenia dzieła, policmajster zmonopolizował rozpustę w mieście, założył 113 domów publicznych. Zdaje się obraz dostatecznie jaskrawy. Pomimo to, mieszkańców Nowonikołajewska ciągle usiłują przekonać, że stan wojenny wprowadzono w ich interesie i że oni, głupcy, nie rozumieją swojej korzyści”.

Nie będziemy wyliczali czynów obywatelskich policmajstra Wismana, którymi przepełnione były szpalty pism rosyjskich, z wyszczególnieniem nazwisk ludzi pokrzywdzonych i cyfr haraczu, ściąganego przez policję, gdyż na to nie starczyłoby jednego numeru *Prawdy*. Poprzestaniemy tylko jeszcze na zaznaczeniu paru wymownych szczegółów. Ogromny dochód dawali policmajstrowi żydzi i—domy publiczne. Najbogatszy kupiec Kahan płacił 4,000 rb. rocznie, drugi, czapnik, 600 rb. Wszystkie drobne sklepiki płaciły

po 5 rb. miesięcznie, piwiarnie od 5 do 20 rb. miesięcznie. · Z rozporządzenia policmajstra dokonywano rewizji, podczas których rabowano kosztowności, a niewinnych ludzi więziono. Grubo zarabiał nietylko policmajster, ale najdrobniejsi funkcjonarjusze. Nędzarz—kancelista w krótkim przeciągu czasu stał się właścicielem domu, współwłaścicielem fabryki tytuniu i posiadaczem kapitału w banku.

Działalność policji w Nowonikołajewsku — to jest w skupieniu obraz rozproszonej działalności na szerokich obszarach państwa nietylko policji, ale i innych organów. Wykrycia Sawienki, na szpaltach nawet reakcyjnego *Kijewlanina*, świadczą wymownie, że ta zgnilizna szerzy się bodaj gwałtowniej i jadowiciej, niż cholera i dżuma.

„O tym, że w kijowskim zarządzie gubernjalnym — pisze p. Sawienko — dzieją się niepiękne rzeczy, mówiono już dawno. Mówiono o handlowaniu posadami służby policyjnej, o tym, iż większość członków policji obciążono „daniną”, przyczym ci, którzy nie płacili daniny, zawsze pozostawali pod grozą, iż będą wykryte ich wypadkowe lub niewypadkowe grzeszki i uchybienia, a wtedy za umorzenie spraw trzeba będzie płacić znacznie więcej. Stopniowo powstała cała organizacja, posiadająca swoich agentów w różnych stronach gubernji. W roku bieżącym grupa osób, świadomych rzeczy, zakomunikowała mi do mego rozporządzenia dane, które całkiem przekonały mię, że wszelkie opowiadanie i wskazywanie osób są niezbitą prawdą. Otrzymałem szereg dokumentów, które dają obraz strasznego rozkładu moralnego w miejscowym zarządzie gubernjalnym i w instytucjach policyjnych. Na mocy tych dokumentów przekonałem się, że z powodu krzyczących nadużyć w zarządzie gubernjalnym i w instytucjach, wziętych przez niego w opiekę (na pierwszym miejscu wydział śledczy policji kijowskiej, akuratnie płacący daninę zarządowi gubernjalnemu), napływało mnóstwo skarg i donoszeń, ale wszystkie podlegały jednemu losowi: odsyłano je do archiwum”... „Gdy W. G. Kondoidi, wysłany przez Stołypina dla zbadania tych spraw, udał się do mnie z prośbą o pomoc, podzieliłem się z nim i z jego współpracownikiem całym materjałem dowodowym”.

Taki jest znamienny ustęp z rewelacji Sawienki. Poczym Kondoidi pracował usilnie i zebrał olbrzymi materjał dowodowy, którego rezultatem były liczne dymisje i oddanie pod sąd przestępców. W liczbie ich jest niejaki Burzyński, młodzieniec 18-letni, używany do posług w sprawach dyskretnych, jako urzędnik bardzo sprytny. Zrazu posyłano go z listami, następnie zaś z ustnymi poleceniami do różnych hotelów, w których zatrzymywali się przyjezdni z gubernji „isprawnicy”, „pristawowie” i t. d. „Idź i weź od niego tyle to i tyle pieniędzy” — brzmiała zwykle instrukcja. Burzyński szedł i brał. Gdy go wezwał do zeznań p. Kondoidi — młodzieniec wszystko mu opowiedział z całą szczerością, dzięki czemu zdobyto kolekcję kuponów od przekazów pieniężnych, pochodzących od bardzo wielu „isprawników” i „pristawów”. Po złożeniu tych zeznań i dowodów, Burzyński nazajutrz był wydalony ze służby, na mocy rozkazu gubernatora, a obecnie, na mocy nieubłaganego prawa, poszed pod sąd, jako wspólnik przestępstw zarządu gubernjalnego.

Zdziercze łapownictwo w tej instytucji podobno kwitło już oddawna, a zwierzchnicy łapowników jakoby nic o tym nie wiedzieli. Jeden z urzędników, uchodzący za nieskazitelnego, otrzymał nawet podziękowanie władzy zwierzchniczej, a wkrótce potym, po dokonanej rewizji przez Kondoidi, — propozycję podania się do dymisji w ciągu 7-miu dni.

Wykrzesaliśmy tylko dwa obrazki z ogólnej, wielkiej panoramy. Nie chcemy przygniatać czytelników większym ciężarem liczebnym takich faktów. Wystarczy chyba tego dla zadokumentowania szerzącej się zgnilizny na szerokich obszarach. Rozcinanie i wyciskanie wrzodów odbywa się pośpiesznie i energicznie, ale pod miejscem zabliźnionym po operacjach senatorskich choroba w głębi nurtuje, bo jej źródliska pozostały nietknięte. Rewizje senatorskie obchodzą jubileusz 200-letni. Jednocześnie taki sam jubileusz mogą obchodzić te choroby, których za pomocą operacji nie zdołano usunąć. Nadużycie władzy, łapownictwo, a jako presja dla wydobycia haraczu, krępowanie życia różnych warstw społeczeństwa, tamowanie jego zdrowego rozwoju — to są zjawiska codzienne. Przychodzą rewizje senatorskie, czynią pogrom winnych. Społeczeństwo oddycha swobodniej, ale czy na długo? Rewizje senatorskie nawołują do współdziałania społeczeństwa przy wykrywaniu nadużyć. Potężnym organem tego współdziałania jest prasa, która już niejednokrotną usługę oddała w tej mierze. Oceniają jej rolę w tych sprawach wybornie różni przedstawiciele władz administracyjnych, a miarą tej oceny są kary i ograniczenia miejscowe, dotyczące głównie prasy prowincjonalnej. Na pisma, wychodzące w różnych miastach gubernjalnych, spadają dotkliwe kary za takie sprawy, które wolno było roztrząsać podczas najsurowszej cenzury. Niedawno jeden z gubernatorów ogłosił własne prawo cenzury, wyliczając wszystkie sprawy, których nie wolno poruszać, pod groźbą kary. Między innymi, nie wolno krytykować działalności organów administracyjnych, policyjnych i t. d. W Odesie już oddawna znane są wypadki wydalania drogą administracyjną tych dziennikarzy, którzy się ośmielili ujawniać lub oświetlać wszelkie omyłki i nadużycia władzy różnych organów policyjno-administracyjnych.

Za to współdziałanie, do którego nawołują rewizje senatorskie, również spadają kary na prasę. Pisma rosyjskie mają już nawet stałą rubrykę pod tytułem: „Martyrologja prasy”. Rubryki te są coraz dłuższe, a do kary są coraz częściej kwalifikowane przestępstwa prasowe, które raczej można byłoby zaliczyć do zasług obywatelskich. Są różnie rozumowane „zasługi obywatelskie”. Wszakże i prześladowanie prasy niezależnej przez związkowców oraz przez wszelkie ciemne żywioły, pozostające na ich usługach, jest również zaliczone do takich zasług.

Zen. Pietkiewicz.

NA DOBIE.

Ludwik Straszewicz wyklęty!

Jak grom z jasnego nieba spadnie ta nieprawdopodobna wieść na polski ogół, co mniemał prostodusznie, że po głośnym wystąpieniu w obronie kościoła powinien p. Straszewicz za życia być wniebowziętym.

Stało się wręcz odwrotnie. Artykuł „Katolicyzm a Polska”, ostrzem godzący w myśl wolną, jak źle użyty piorunochron, ściąga na głowę autora grom klątwy papieskiej.

Istotnie. P. Straszewicz, słusznie zaliczając Polskę do wielkiej rodziny ludów kultury zachodniej, podstawę i rękojmię tej europejskiej kultury nowoczesnej widzi w kościele rzymsko-katolickim. Radzi tedy rodakom trzymać się i nadal za poły płaszczów kardynalskich, aby w rzędzie narodów kulturalnych pozostać i nie wypaść z rytmu wartkiego ich postępu...

Wstrzymajcie śmiech przyjaciele! Lada rozgarnięty dzieciak wie doskonale, że właśnie narody zachodnio-europejskie, mając do wyboru kulturę świecką nowoczesną i rzymskie średniowiecze, kolejno zrywały z Watykanem. Nieustający ten rozbrat zaczął się 500 lat temu i trwa po dziś dzień, docierając poza

Pireneje... Jeśli naszym luminarzom wypada „niewiedzieć” o tym, co mówią podręczniki szkolne, niechże przynajmniej nie okazują tak rażącej niedbałości i niewiedzy w dziedzinie nauk i nakazów kościelnych. Mamy wszelkie prawo tego od nich wymagać... Wiadomo całemu światu, że ze swej strony Watykan wyparł się solennie wszelkiej łączności, wszelkiego powinowactwa z kulturą nowożytną, nazwaną przezeń „potwornym płodem smutnych naszych czasów”.

Wielki *Syllabus* Piusa IX-go wręcz ogłasza: „Przeklęty, kto powie, że papież może i powinien uzgodnić się i pojednać z postępem, liberalizmem i cywilizacją nowoczesną” (...*cum progressu, liberalismo et recente civilitate componere potest.*)

A ponieważ publicysta *Słowa* wypowiedział owo właśnie bluźniercze mniemanie, tedy jest pan Ludwik Straszewicz wyklęty i potępiony ukazem papieskim z r. 1864, § 60, jeśli nie *de facto* — to *de jure*.

Nieszczęśliwemu naszemu koledze, mimo dzielących nas różnic, składamy szczerą kondolencję.

Z tamtej strony barykady.

Po djalogu z panem Kempnerem, djalog z Sienkiewiczem. Pan Straszewicz w *Słowie* przeprowadza systematycznie międzypartyjną konferencję polityczną, zmierzającą zarazem i do rozgraniczenia programów i do wytknięcia punktów kontaktu między grupami i stronnictwami. Spór z p. Grońskim czyli z Sienkiewiczem, a ściślej mówiąc z Narodową Demokracją należy do najciekawszych epizodów tej akcji dyplomatycznej. Jeżeli w rozmowie z p. St. A. Kempnerem wysuwano na pierwszy plan kwestje sporne, a punkty „współdziałania społecznego” zasłaniano tajemniczym domyślnikiem, tu rzucają się one jaskrawo w oczy, wspólność celów jest czymś rozumiejącym się samo przez się, a tylko różnica środków jest przyczyną sporu.

Sienkiewicz zarzuca, że „konserwatyści z największą zaciekłością zwracali się nie przeciw rewolucjonistom, lecz przeciw patryjotom narodowym”. Straszewicz zaręcza, że „zaciekłości” nie było w nich wcale, „patryjotów narodowych” nie zwalczali, bo się sami do nich zaliczają, a rewolucjonistów „wedle sił”, lecz nie mniej szczerze niż Narodowa Demokracja „zwalczali i potępiali”. „Na tym punkcie staliśmy z nią po jednej stronie barykady”.

Sienkiewicz twierdzi, że tylko „patryjoci narodowi” mieli dość siły, by do rewolucji nie dopuścić. Straszewicz przypomina im, że ani fizycznie ani moralnie tej siły nie posiadali i że istotnie wybuchowi rewolucji nie zapobiegli.

„My, realiści, nie występowaliśmy właściwie nigdy przeciw nikomu, jak tylko przeciw rewolucji w Polsce, przeciw rewolucjonistom, a przedewszystkim przeciw rewolucyjnym środkom i obyczajom, które prawdę uważają za przeszkodę do swego powodzenia”.

Możnaby tu przypomnieć choćby djalog z panem Kempnerem o „Katolicyzmie i Polsce”, aby stwierdzić, że w tym ostatnim znaczeniu i realiści umieją być „rewolucjonistami”, nie zawsze godzą się bowiem na głoszenie tego, co za prawdę uznają i umieją doskonale na swój sposób dzielić prawdy na użyteczne i nieużyteczne. Niech jednakże będą spokojni; my między hypokryzją a rewolucją nie widzimy bynajmniej stałej i ścisłej łączności.

Stwierdziwszy wspólność programu na punkcie „zwalczania rewolucji w Polsce”, dodaje p. Straszewicz: „Nie mniej przeto nasze poglądy i nasze sposoby postępowania były odmienne od Endecji”. Chodzi więc, jak widzimy, o sprawiedliwy podział zasług, chodzi o to, kto więcej zdziałał, kto lepiej sobie poczynał w kontrrewolucyjnej robocie. Zdaje się, że prócz tych dwuch stronnictw nikt już do konkursu nie stanie, a jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że oba przeceniają swoje zasługi.

„Nie udało się nam, nie udało się wam” — mówi p. Straszewicz Sienkiewiczowi — a tu należałoby dodać: ale udało się komuś trzeciemu, posiadającemu więcej sił i środków dla stłumienia rewolucji, niż cała nasza połączona reakcja, zarówno uzbrojona w brauningi endecja, jak i bezbronna, niewinnie pogróżkami różnych partji uciśniona ugoda.

Zachodzi pytanie, na co teraz wznawiać sojusze zaczepno-odporne przeciw wrogowi, który znikł z horyzontu? „Weźmy się wspólnie, zgodnie do szukania nowych dróg ratowania Ojczyzny”. Ratowania? Od czego? Czy nie należałoby mniemać, że dziś, w dobie *uspokojenia*, oba stronnictwa straciły rację bytu? Broń Boże! Niema najmniejszej wątpliwości, że oba są potrzebne. Prócz faktycznych są przecież moralni sprawcy, duchowe buntowszczyki, którym święty spokój i błogosławiona zgoda nie są milsze nad wszystko na świecie, którzy żadną miarą przyznać nie mogą, aby wielostronna polska nędza, ciemnota, niedola — stanowiące tło naszego bytu — godne były konserwowania i usprawiedliwiały szukanie *w konserwatyzmie* punktu oparcia dla zbawczej społeczno-politycznej akcji.

Votum nieufności.

W chwili obecnej, kiedy cholera ogarnęła olbrzymie obszary Rosji, wdarła się nawet do wsi zapadłych i szerzy niebywałe spustoszenia; w chwili, kiedy dżumy w Odesie nie zdołano jeszcze stłumić, a nawet poczyniono przygotowania na przyjęcie jej w Kijowie — okazało się, że Rosja posiada za mało lekarzy. Z tego powodu, w drodze wyjątkowej, pozwolono lekarzom zagranicznym wziąć udział w tłumieniu zarazy, ale tylko na czas ograniczony — do 14-go stycznia (dla czego nie do lutego? Czyżby cholera miała się przestraszyć nowego roku starego stylu?) Nadto lekarze ci dostąpią zaszczytu niesienia pomocy zdziesiątkowanej ludności w Rosji tylko w takim razie, jeżeli przedstawią świadectwa o zdaniu egzaminów państwowych za granicą, lub też odbyciem dwuletniej praktyki lekarskiej w szpitalach. O każdym lekarzu zagranicznym miejscowy inspektor lekarski musi być zawiadomiony. W tak ciężkiej chwili dla ludności, nękanej epidemjami, niezłomny system polityki szkolnej i tutaj, poza swoim wydziałem, musiał wyrazić votum nieufności względem lekarzy zagranicznych. Zresztą dziwić się nie można takiemu traktowaniu lekarzy zagranicznych, skoro nieufność administracji wyraziła się w stopniu o wiele silniejszym względem lekarzy własnych: w chwili, kiedy nietylko pomoc lekarzy pojedyńczych, rozproszonych, ale *organizacje lekarskie* są warunkiem *niezbędnym* i powinny być nawet *nakazane*, w chwili takiej organizacje te są... *zakazane*! U nas zamknięto Towarzystwo lekarzy, a w Odesie popularną i cieszącą się wielkim uznaniem ludności ubogiej lecznicę. Przed obawą szerzenia się zarazy w jednym wypadku stanęła obawa języka polskiego, w drugim — obawa wpływów żydowskich.

BADANIA NAUKOWE.

W poszukiwaniu nowego światopoglądu.

(Ciąg dalszy).

IV.

Brzozowski nie lubi socjologji, o której wyraża się w pismach swych często pogardliwie. Zarazem jednak nie rozumie jej zupełnie. W jednej z prac

dawniejszych p. t. „Monistyczne pojmowanie dziejów i filozofja krytyczna"[1]) usiłuje wykazać, że socjologja dotychczasowa, jako nauka, posługująca się metodą objektywną, nie ma żadnej wartości, nic nam nie daje, i same jej podstawy są chwiejne.

Zaczyna swoją „krytykę" od twierdzenia, że sam materjał socjologiczny jest przez badaczy zupełnie dowolnie wybierany, gdyż brak jakiegokolwiek kryterjum, któreby wskazywało, co jest ważne, a co nie, innymi słowy, co ma wartość, a co jej nie ma.

Brzozowski, jak i inni zresztą metafizycy i zwolennicy subjektywizmu w socjologji nie rozumieją tego, że o ważności pewnych faktów, w określonej dziedzinie zjawisk, rozstrzyga obserwacja i doświadczenie. Im lepiej poznajemy pewne zjawiska, im więcej w nie wnikamy, tym lepiej zdajemy sobie sprawę z ich mechanizmu.

Historycy dawniejsi czynili z królów i dowódców wojsk punkt centralny faktów dziejowych; historycy współcześni postępują inaczej; badają przedewszystkim stan społeczeństwa, a więc warunki przyrodnicze, wśród których żyje, oraz rozwój podstawowych instytucji socjalnych i dopiero na takim tle opisują faktyczny przebieg indywidualnych faktów dziejowych. Co spowodowało tę zmianę metody?

Oczywiście, głębsze poznanie życia zbiorowego.

Wybór materjału z życia społeczeństw nie jest tak dowolny, jak sobie wyobraża Brzozowski.

Samo życie pokazuje, co jest ważniejsze, a co mniej ważne.

Brzozowski zupełnie dowolnie identyfikuje całą niemal socjologję z teorją postępu społecznego i dlatego uważa, że podstawą tej nauki powinno być kryterjum ogólnej wartości życia.

Teorja postępu nietylko nie jest identyczna z socjologją, ale nie odgrywa w niej nawet roli głównej. Socjologja, jak to widać z jej dotychczasowego rozwoju, z jej najważniejszych wyników, jest nauką o typowych grupach społecznych, o typowych wewnątrz nich i między nimi stosunkach. Wskazuje nam, w jaki sposób powstają pewne grupy społeczne, jak się rozwijają, jakie rodzą się w nich instytucje, jak wpływają na ludzi i t. p. Omawia tworzenie się większych społeczeństw z grup poszczególnych, ich właściwości, przeobrażenia i t. p.

Oczywiście, socjologja, unaoczniając wpływ różnych instytucji społecznych na jednostkę i grupę, grup na siebie, wypowiada o tym wpływie swoje sądy, które mogą być rozmaite, zależnie od punktów widzenia badaczy. W każdym razie, nie sądy te, nie pochwały lub nagany dla pewnych instytucji i grup stanowią punkt ciężkości socjologji, lecz tworzenie się grup i instytucji społecznych, ich przeobrażanie się i zjawiska od nich zależne.

Racja bytu socjologji polega na tym, że ułatwia orjentowanie się w zjawiskach społecznych, tłumaczy gienezę powstawania rozmaitych instytucji, umożliwia, w pewnych oczywiście tylko granicach, przewidywanie przeobrażeń życia zbiorowego. Pod tym względem dała nam dotychczas wiele, a w przyszłości da jeszcze więcej.

Brzowskiego jednak to nie zadawala, więcej, nie ma nawet dla niego żadnego znaczenia. Chodzi mu natomiast o bezwzględne, metafizyczne pojęcie wartości... Z tego punktu widzenia usiłuje on krytykować rozmaite systematy socjologiczne dawniejsze i nowsze, wreszcie, wypowiedziawszy o nich z tego stanowiska sąd ujemny, formułuje sam poglądy w sposób następujący:

„Jedyną rzeczywistością jest konkretna, poszczególna wartość, samoustanawiający się czyn, wyrażający się w działaniu, sądzie, odczuciu etc. Gdzie można tu szukać jeszcze sprawdzianu, dla takich poszczególnych, ze wszystkich realnych, czy idealnych więzów, — rozpętanych wartości. Każda z nich musi być swobodną, musi być aktem twórczym, a jeżeli tak, to nie można w poszukiwaniu sprawdzianów wychodzić poza nie, w każdej, jako takiej, znaleźć je musimy" [2]).

Mamy już więc niby kryterjum do oceny zjawisk społecznych, którym jest „czyn twórczy".

Nasuwa się tu jednak pytanie—jaki czyn? Istotnie, całe życie społeczne jest szeregiem czynów, mamy więc czyny sądzić przez „czyn twórczy" bliżej nieokreślony.

Brzozowski, jakby w przewidywaniu tego pytania, mówi, iż nie potrzeba już żadnego innego sprawdzianu, żadnej dalszej analizy.

Na 120 zgórą stronach swego szkicu krytykował rozmaite systematy socjologiczne, domagając się od nich dokładnej odpowiedzi, wreszcie, uznawszy je wszystkie za niedostateczne, rzucił nic nie mówiący ogólnik o „czynie twórczym", który nie wymaga już, jego zdaniem żadnych bliższych określeń.

W „Ideach" znajdujemy duży szkic, zatytułowany Anti Engiels. Napróżno jednak czytelnik szukałby tam jakiej gruntownej krytyki poglądów Engielsa.

Brzozowski porusza tam mnóstwo spraw, niemających żadnego związku z tytułem szkicu.

Trudno nawet uchwycić nić przewodnią w rozproszonych i urywkowych zarzutach, robionych Engielsowi. Jedno zdaje się być pewne, że autor „Idej" uważa go za ewolucjonistę tego typu, dla którego rozwój społeczny odbywa się, jakgdyby poza ludźmi, a nie przez nich, że ma mu za złe, iż nie przywiązuje wagi do wewnętrznego życia człowieka, jego codziennych popędów, chceń, uczuć i czynów; zarzuca mu też brak wiary w zdolność klasy robotniczej do samorządu i dążność do zdobycia władzy politycznej w państwie...

Wszystkie te zarzuty czynione były nieraz nie samemu Engielsowi, lecz marksizmowi wogóle.

Brzozowski zupełnie przeciwstawia Marksa Engielsowi.

Nie ulega wątpliwości, że Marks był umysłem potężniejszym, że wiedza jego była rozleglejsza i znacznie gruntowniejsza, aniżeli Engielsa, że wogóle był indywidualnością daleko większą od niego. Prawdą też jest, że Marks miał żywszy temperament, aniżeli jego wielbiciel i przyjaciel.

W dziełach tych dwu ludzi, wyznających jedną teorję, można nawet znaleźć pewne różnice, niezbyt zresztą znaczne w poglądach. Myli się jednak Brzozowski, wyobrażając sobie, że Marks posiadał zasadnicze odmienne poglądy filozoficzne od Engielsa, że nieprzywiązywał wielkiej wagi do warunków zewnętrznych w życiu społecznym i że wszystko tylko opierał na „twórczości" człowieka. Pod tym właśnie względem prawie że się nie różnili, mówię — prawie, gdyż temperament unosił Marksa i prowadził go czasem w akcji dalej, niż jego własna teorja.

Zarówno Marks, jak i Engiels, wysuwając na plan pierwszy, w życiu społecznym, rozrost sił wytwórczych, dodawali zawsze, że działają one nie poza ludźmi, lecz przez nich. Dopiero uczniowie ich skłonni byli często i są pojmować rozwój społeczny w sposób czysto mechaniczny.

Nieprawdą jest również, żeby Engiels nie przywiązywał wagi do wewnętrznej strony życia ludzi, żeby nie miał zaufania do dojrzałości klasy robotniczej. Przeciwnie, w walce swej z blankistami zawsze wykazywał, że przewrót społeczny wymaga także wewnętrznego przekształcenia się klasy robotniczej. Sądził jednak, że może być osiągnięte nie inaczej, jak przez zdobywanie wpływu w państwie, aż do opanowania w nim władzy, że wymaga ono pewnych warunków zewnętrznych.

---

[1]) Kultura i Życie st. 257 — 377.

[2]) Kultura i Życie st. 379.

Uważał bowiem, że klasa robotnicza, chcąc się wszechstronnie rozwinąć, musi zdobyć pewne korzyści w granicach dzisiejszego ustroju, nietylko przez „wewnętrzne doskonalenie się", lecz także przez walkę polityczną.

Można podzielać, albo nie, poglądy Engielsa, nie trzeba jednak ich przekręcać.

Krytykując kogokolwiek, Brzozowski nie przytacza żadnych cytat na poparcie swych zarzutów. Tak samo postępuje z Engielsem.

Sympatje Brzozowskiego są naturalnie po stronie Sorela i syndykalizmu. O poglądach Brzozowskiego w tej dziedzinie nie będę pisał specjalnie, ani ich krytykował, gdyż poświęciłem już w *Prawdzie* [5]) osobny artykuł Sorelowi, który wywarł bardzo silny wpływ na autora „Idej".

Muszę tylko zwrócić uwagę na fałszywe przedstawienie poglądów Sorela przez Brzozowskiego.

„Istotnie jednak, mówi Brzozowski [6]), jest to chyba zwrot, najbardziej klasyczny w myśli naszej, gdy odnajdujemy, jako najgłębszą rzeczywistość, jako źródło wszelkich ideologicznych, prawnych, moralnych, przyrodniczych określeń świata — ojczyznę, to jest społeczeństwo ludzi, mówiących naszą mową i usiłujących z ustalonej w tej mowie przeszłości wydobyć środki wychowawcze, wytwarzać możliwie największą ilość pracy, ostającej się w współczesnym świecie. Na tym sposobie widzenia życia polega cała filozofja Sorela". W innych ustępach swej książki Brzozowski usiłuje także przedstawić teoretyka syndykalizmu francuskiego, jako człowieka, przyznającego narodowości pierwszorzędną rolę w życiu społecznym.

Zdawaćby się mogło z przedstawienia Brzozowskiego, że Sorel jest patryjotą, co jest z gruntu błędne. Sam Brzozowski czuje, że jego interpretacja Sorela jest mylna i dlatego pisze: „wiem, że zarys ogólny stanowiska Sorelowskiego może do pewnego stopnia zdziwić ludzi, którzy znają pisma Sorela...

Zdumienie to może dotyczyć przedewszystkim pojęcia ojczyzny, ale ktokolwiek zna rzecz Sorela o Renanie, o Sokratesie i o upadku świata starożytnego, wie, że raczej niedostatecznie, niezbyt dobitnie uwydatniłem ten moment Sorelowskich zapatrywań".[7])

Sorel, jak każdy zresztą inny teoretyk, nie może nieuwydatnić ogromnego wpływu życia narodowego na wszystkie objawy działalności ludzkiej. W tym specjalnie względzie, jak i w swej „teorji mytów", Sorel jest pod silnym wpływem Gustawa Le Bona.

Pisząc o Grekach, Rzymianach i żydach, teoretyk syndykalizmu francuskiego nie miał potrzeby i nie mógł nawet uwydatnić swoich poglądów na narodowość, jako czynnik w życiu społeczeństw współczesnych, które posiadają zorganizowaną klasę robotniczą.

Gdyby istotnie Sorel robił z narodu ośrodek swych poglądów na stosunki społeczne w dobie obecnej, byłoby się to uwydatniło w jego pracach, dotyczących naszych czasów. Tymczasem, z całą pewnością twierdzić możemy, że pisarz ten ignoruje zupełnie sprawy narodowościowe Oddzielając murem chińskim klasę robotniczą od całego społeczeństwa, Sorel tymsamym chce ją postawić poza obrębem życia narodowego. Nie uznaje on też żadnych spraw ogólno-narodowych. Wyśmiewa nawet tych socjalistów parlamentarnych, którzy je uwzględniają.

Brzozowski w dziwny sposób przekręcił myśli Sorela. Wszystko, co ten mówi o klasie robotniczej w dobie obecnej, przenosi na naród i tylko od czasu do czasu wspomina o proletarjacie. Występuje u niego w dziwnym połączeniu nacjonalizm z syndykalizmem.

Charakterystyczną jest rzeczą, że Brzozowski dopiero z dzieł Sorela przekonał się, że uregulowanie stosunków płciowych, tworzenie nowych pokoleń i ich wychowanie w rodzinie są to sprawy bardzo doniosłe. Podnosząc myśli Sorela w tej dziedzinie, zapomina o legjonie całym pisarzy, którzy zrobili to odkrycie wcześniej. Poruszając niektóre sprawy, związane z ruchem robotniczym, Brzozowski, swoim zwyczajem, nie wychodzi poza tanie ogólniki o „demoralizującym" wpływie walki politycznej i o samodzielności proletarjatu

Ponieważ Sorel występuje przeciwko demokracji radykalnej we Francji, Brzozowski, przez naśladownictwo, zwalcza nasze żywioły postępowe. Nie robi im jednak ściśle określonych zarzutów, tu i owdzie tylko rzuca jakiś frazes ujemny pod ich adresem.

Twierdzi np. zupełnie gołosłownie, że pojmowali i pojmują postęp, jako proces automatyczny, który bez wysiłków doprowadzi nasze społeczeństwo do pomyślnego stanu. Zdanie to jest zupełnie fałszywe. Przeciwnie, nasze żywioły postępowe zwalczały zawsze niedołęstwo, brak inicjatywy, stanowczości i wytrwałości w naszym społeczeństwie; postęp był dla nich właśnie rezultatem świadomych wysiłków jednostek i grup społecznych.

Zdaje się, że główną winą naszych postępowców w oczach Brzozowskiego jest to, że nie są potężni.

Charakterystyczną cechą ludzi, jak autor „Idej", niestałych i nieposiadających własnej potężnej indywidualności — jest korzenie się przed siłą i wszelkim powodzeniem, oraz lekceważenie tego wszystkiego, co w tym czasie jest słabe.

(d. n.) *Ludwik Kulczycki.*

Fr. Bujak **Galicja** t. II Leśnictwo—Górnictwo—Przemysł, Lwów—Warszawa 1910 s. IV i 510.

(Dokończenie).

Połowę niemal omawianego tomu poświęca prof. Bujak warunkom prawno-społecznym, w jakich się przemysł galicyjski rozwija. Za punkt wyjścia posłużyła mu krytyka kierunku, w jakim rozwijają się zabiegi społeczeństwa, kraju i państwa, zdążające od lat 30 do uprzemysłowienia Galicji. Wykazuje przeto, że popularne dziś hasło uprzemysłowienia kraju nie jest dostatecznie rozumianym. Dużo zawiniła tu nieudolność władz, ożywionych najlepszymi chęciami, które jednak przez lat 20 popierały prawie wyłącznie przemysł włościański domowy i to w kierunku głównie artystycznym.

Nie stworzono na tej drodze nowych ognisk przemysłu włościańskiego, natomiast zaniedbano uprzemysłowienie rolnictwa. Wielkie gospodarstwa przemysłowo-rolne należą dotąd do wyjątków, a rynek wewnętrzny wciąż jest tak ubogim, że nie może stanowić głównego odbiorcy dla wyrobów przemysłowych.

Autor zastrzega się tu, w czym zgodzić byśmy się z nim nie mogli, że niezadowolenie potrzeb rynku wewnętrznego, ale zdolność exportowa stanowi miarę zdrowego rozwoju przemysłu, przemysł tkacki i metalowy uznaje za niezbędny w każdym uprzemysłowionym kraju i nawołuje do wyłącznego na dziś popierania przemysłu wielkiego. Słusznymi natomiast są jego uwagi, że brak nam jedynie w Galicji kapitałów obfitych i chętnych do zatrudnienia w przemyśle, nowoczesnej przedsiębiorczości i uzdolnień kupieckich.

Z takimi szkopułami, jakie stanowią: brak komunikacji morskiej, niemożność prowadzenia polityki handlowej, celnej i taryfowej, odpowiadającej interesom Galicji, trzeba się liczyć i dlatego właśnie rozszerzanie rynku wewnętrznego i coraz doskonalsze opanowanie jego zapotrzebowania jest dla przemysłu naszego bodaj ważniejszym, niż dla innych krajów. Stąd

---

5) „Prawda" Nr. Nr. 17 i 18

6) Idee st. 245.

7) Idee st. 262.

i konieczność ścisłej łączności między przemysłem i rolnictwem, oraz i doniosłość uprzemysłowienia rolnictwa.

Autor sumiennie rozpatruje warunki poparcia rozwoju krajowego przemysłu, a zatym: reformę szkół średnich, któreby zbliżały młodzież do wielostronnego życia produkcyjnego, pomnożenie szkół średnich handlowych i przemyslowych, wystawy lokalne, literaturę i t. p. Nie po raz pierwszy spotykamy się z wezwaniem krakowskiej Akademji umiejętności do utworzenia osobnej komisji społeczno-gospodarczej i należytego jej uposażenia. Dotąd umiejętności te wcale nie wchodzą w zakres studjów, popieranych przez tę instytucję, jako zbyt zależne od życia i nie dość naukowe. Nauka nasza stroni od życia, jak gdyby obawiała się bliższego z nim zetknięcia, a przecież bezpośredni udział nauki w kształtowaniu tego życia stanowi jedną z cech nowoczesnej umysłowości zbiorowej. Najlepszym dowodem, w jakiej mierze zbratanie nauki i potrzeb życiowych płodnym jest w następstwa stanowią olbrzymie postępy nauk technicznych i zastosowań ich wielostronnych w życiu.

Podobnie szczęśliwym jest pomysł autora, aby przy wydziale krajowym utworzyć Biuro studjów nad przemysłem, którego domaga się także utworzony przed kilku laty Związek galicyjskiego przemysłu fabrycznego. Celem takiego Biura byłoby opracowywać warunki egzystencji nowych przedsiębiorstw i zachęcać do ich zakładania zarówno przemysłowców miejscowych, jak i obcych. Niezależnie od działalności kraju, autor radby widzieć powstanie akcyjnego banku przemysłowego, którego fundusze powstałyby z części rezerw kas oszczędności i towarzystw zaliczkowych, oraz z akcji, zakupywanych przez prywatnych przedsiębiorców w kraju i za granicą. Autor nie ukrywa trudności prowadzenia takiego banku w Galicji, która nie posiada dotąd nawet odpowiedniej statystyki przemysłowej i handlowej i nie zdaje sobie sprawy z rozmiarów i pojemności rynku wewnętrznego, oraz z eksportu i importu galicyjskich towarów.

Brak tej statystyki zawinił prawdopodobnie w tym, że autor nie zajmuje się specjalnie handlem Galicji. Jest to terra incognita, którą przecież musimy zbadać, jeżeli zechcemy podjąć poważną akcję w zakresie przemysłu.

Sądzimy, że autor nie docenia niebezpieczeństwa kolonizacji majstrów i przedsiębiorców przemysłowych, rozpoczętej już przez Związek przemysłu fabrycznego.

Prof. Bujak uważa taką kolonizację za najpewniejszy środek uprzemysłowienia kraju i radby ją widział, jako akcję, wychodzącą z inicjatywy kraju i przezeń kierowaną. Wprawdzie, jak powiada, Czechom udaje się nadać przedsiębiorstwom, zakładanym przez Niemców, zupełnie czeski charakter. Od prostych robotników aż do inżynierów, a nawet dyrektorów pracują w nich wyłącznie Czesi. Nie można również zaprzeczyć, że znana polityka Królestwa Kongresowego, a potym rządu rosyjskiego w sprowadzaniu przemysłowców obcych do Królestwa stworzyła nasz przemysł wielki, Łódź i Zagłębie. Przecież właśnie dzieje przemysłu w Królestwie, gdzie element obcych przedsiębiorców dotąd się nie zasymilował, każe nam tu specjalną zachowywać ostrożność. Jeżeli nie możemy, czy nie potrafimy dotąd poprowadzić polityki handlowej tak, aby ona dla Galicji była korzystną, czy jest gwarancja, że popieranie kolonizacji przemysłowej nie ułatwi dróg zalewowi niemczyzny?

Austrję, jak sam autor na innym miejscu przyznaje, zaliczyć trzeba do państw, opiekujących się najgorliwiej polityką gospodarczą. Polityka kolonizowania przemysłu obcego, uprawiana przez kraj, byłaby niewątpliwie wyzyskaną na korzyść poddania roboczych sił Galicji kapitałowi obcemu, co i tak się dokonywa dzięki bierności i trwożliwości kapitalistów polskich. Zamiast bronić się przed nowym zalewem, torowalibyśmy mu drogi.

Sądzimy, że wydatniejsze i energiczniejsze poparcie sił i przedsiębiorców miejscowych, rozwój szkolnictwa fachowego, do którego autor wymownie zachęca, wystarczy, aby w kraju znalazło się dość ludzi, organizujących przemysł bez uciekania się do polityki kolonizacyjnej. Będzie to przemysł więcej liczący się z potrzebami kraju, niż ze spekulacją na eksport.

Ostatnie rozdziały książki poświęca autor rozpatrzeniu rzemiosła i przemysłu domowego, rozpatruje szkolnictwo przemysłowe, stanowisko rządu i kraju.

Na końcu książki podaną została obszerna bibljografja, przekonywująca, że stosunki ekonomiczne Galicji, w ostatnich zwłaszcza latach, wywołały mnóstwo prac i urzędowych publikacji.

Po tym co powiedzieliśmy o 1 i 2 tomie, zbytecznym byłoby podnosić zalety dzieła, którego znajomość jest wprost niezbędną dla każdego, kto interesuje się stosunkami Galicji i przyszłym jej rozwojem. W projektach swych i radach, dalekich od ducha wszelkiej stronniczości, autor wszędzie ma na myśli możność rozszerzenia autonomji Galicji i wyodrębnienia jej na podstawie zdobywanej samodzielności ekonomicznej.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

LITERATURA i SZTUKA.

Skamieniałości kulturalne.

Anatol Krzyżanowski: **W godzinie próby.** Z dni trwogi i zamętu. Warszawa 1910.

Istnieją w literaturze naszej wyniosłe, w błękitach utopione, bezgranicznie samotne, wirchy; istnieją też głębokie przepaści, ale niestety, są także i rozległe beznadziejne płaszczyzny: hula po nich, jak śród martwej szerokiej pustyni, wiatr bezmyślnych uniesień, pędząc tumany plew i obłoki gryzącej kurzawy. Rzadko dociera tam oko badawcze krytyki, lub sądy ocen społecznych. Prądy, jakie wieją na owej pustyni ducha, mają byt jednodniowy: rodzą się z tchnienia chwili bieżącej i giną po upływie chwili.

Krytyka, dążąc do ujęcia w twórczości literackiej pierwiastków trwałych, utożsamiając w literaturze narodu niemal całkowicie *wartość* z *nieśmiertelnością*, przepuszcza przez swe sita rozbiórcze całą tę zawieruchę zjawisk jednodniowych, pomija bujną niwę chwastów, powstrzymując się od sutej kośby tam, gdzie kosi ramię nieznużone czasu. Atoli plony niekczemnego posiewu, zaledwie ścięte mieczem zapomnienia, w następnej już chwili pod inną odrastają postacią, zapowiadając smutnie nowe żniwo bezmyślności.

Obok nieśmiertelnego wątku zdobyczy serca i umysłu, snuje się natrętnie w literaturze równie nieśmiertelny wątek nikłości duchowej, zaprzaństwa, jałowej przekory i kwietyzmu.

Dokoła wiekuistego ognia *Ody do Młodości* nieustannie wloką się czarne dymy niechęci i zniechęcenia, tchórzowstwa i bezwładu.

Nie chcę bynajmniej krytyki literackiej obarczać zarzutem, iż, broniąc powagi swych zadań, puszcza mimo uszu zgiełk bezpłodny codziennego rynku wytwórczości; czyni to w imię godności własnej i czyni słusznie: nie do niej należy mierzenie głupstwa zbiorowego na szali interesów społecznych.

Jednokowoż zdrowie społeczne, energja umysłowa i moralna narodu są to rzeczy zbyt ważne, aby po-

wierzać można ich kierunek przypadkowej grze ślepych żywiołów, pozbawionych kontroli i samowiedzy. Nie ze stanowiska ideałów piękna lub prawdy psychologicznej, którymi operuje krytyka literacka, ale od strony higjeny duchowej należy rzucić snop jaskrawy światła na obszary tego rodzaju twórczości, — a raczej produkcji rynkowej, której jedynych punktów orjentacyjnych dostarcza skandal, sensacja, trwoga albo zamęt.

Za typowy okaz takiej „twórczości" uchodzić może niniejszy tom utworów beletrystycznych p. A. Krzyżanowskiego. Nie łudźmy się, że znaczenie literatury podobnej jest niewielkie. Niewielkie jest ono co do czasu działania, to prawda, ale zato olbrzymie co do przestrzeni i skutków.

Literatura ta jest jak zalew powodzi, która w mózgi bezkrytyczne, jak w suchy piasek, wsiąka łatwo i szybko, nie pozostawiając w nich osadu stałego, ale żłobiąc, bądź co bądź mechanicznie, brózdy fatalnych nałogów, odruchów ślepych i skostniałych przesądów.

Aby się przekonać, jak zatrważające rozmiary przybiera propaganda bezmyślności w naszym kraju, spójrzmy na wykaz „główniejszych prac" p. Krzyżanowskiego. Tych prac główniejszych jest 14. Między nimi trafiają się „prace" dwutomowe, po kilkaset stronic zawierające. Niemal wszystkie zostały w edycji pierwszej rychło wyczerpane. Większość odbito drugim nakładem. Jedną z owych powieści p. n. „Odrodzenie" (skandaliczna trawestacja wypadków rewolucyjnych) drukował przed paru laty *Goniec*, podówczas piastujący godność organu urzędowego Demokracji Narodowej. Otóż zbadajmy, ile tysięcy odbiorców rozchwytywało owoczesny *Goniec*, a potym w sekrecie, z zapewnieniem najściślejszej dyskrecji, zapytajmy się Zenona Przesmyckiego, w ilu egzemplarzach rozszedł się sporządzony przezeń i wydany tom utworów Norwida, którego przecież opinja powszechna tak skwapliwie wcieliła do panteonu nieśmiertelnych wieszczów narodu. Zestawmy te dwie pozycje, a otrzymamy przyczynek do bilansu ekonomji duchowej współczesnej naszej kultury.

Przestańmy zasłaniać się i ratować urokiem wielkich imion, bo osłaniamy i ratujemy jedynie nasze ubóstwo i bezwstyd.

Kochanowski, Norwid i Mickiewicz stworzyli dokoła siebie atmosferę wielkości; do nich, niewątpliwie, należy wieczność; ale chwila bieżąca (raz powiedzmy to sobie!) należy do pp. Krzyżanowskich, do Glińskich, do Krzywoszewskich.

Mickiewicz i Słowacki, Krasiński, Norwid lub Wyspiański, odsunięci w obszar nieśmiertelności, świecą, jak gwiazdy, poprzez jej błękit — dumnie i niedosiężnie.

Tłum podziwia gwiazdy genjuszów, ale pragnie przedewszystkim ogrzać się i — najchętniej ogrzewa się przy ogniskach głupoty i bezmyślności.

P. Anatol Krzyżanowski usiłuje niejako swój *genre* literacki postawić na stopie doskonałości: czuwa, aby bezmyślność jego utworów była nieposzlakowana, a ich głupota istotnie bez skazy. W noweli tytułowej („W godzinie próby") autor maluje epizod z dziejów roku 1905 lub 1906. Wszystko zło, jakie z okresu owego wynikło, polegało, zdaniem autora, na tym, że Narodowi Patryjoci nie zdołali dość stanowczo poskromić zapędów socjalistycznych ludu roboczego. Najlepsi bohaterowie powieści wytężają swe najlepsze siły, celem morderczej walki z rewolucją tudzież rowolucyjnością powstających mas proletarjatu, snadź jednak nie byli dość liczni i dość silni, skoro nie potrafili zgnieść całego ruchu w zarodku: autor daje nam do zrozumienia, iż na chęciach szczerych w tym kierunku, ani na zapale bynajmniej im nie zbywało!

Nie zbywało im też na organizacji. Polska umie się sprawnie organizować zawsze, ilekroć zdławić trzeba świtające dzieło własnego odrodzenia!

Niemniej stanowczo, niż z socjalizmem, walczy autor z „dawnymi zasadami pozytywizmu". Pozytywiści, usiłując kraj wzbogacić,—argumentuje autor, — dążą właściwie do pomnożenia swego dobrobytu. „Mają (pozytywiści) jeden patryjotyzm, jedno poczucie obowiązku obywatelskiego i powinności względem kraju, jeden kanon życiowy, jeden punkt honoru i jedną troskę: utrzymać i zaokrąglić, możliwie rozszerzyć nawet stan swych majętności; umierając mieć nie trzy lecz cztery wsie". (str. 26 i 27).

A więc Eliza Orzeszkowa, niestrudzona bojowniczka postępu pod znakiem pozytywizmu; Marjan Bohusz, poświęcający swą myśl, do białości rozżarzoną i serce swe „od uczuć wiecznych spalone" na ofiarę społeczeństwu; Bolesław Prus, za dni swej młodości grzmiący przeciw zastojowi ducha w imię haseł pozytywistycznych, i wreszcie Aleksander Swiętochowski, którego 40 lat twardej i nieugiętej pracy tak głęboko się wryło w dorobek cywilizacyjny Polski współczesnej, że nikt z nas młodych obecnie nie śmie powiedzieć o sobie, iż bez jego spuścizny duchowej byłby tym, czym jest w teraźniejszości, — wszyscy owi wielcy ofiarnicy ducha, będący uosobieniem światła, bezinteresowności i pracy, — wedle słów p. Krzyżanowskiego—głosili jedynie program sytego żołądka i bezpiecznego trawienia?!

Przypominam raz jeszcze, iż nie zajmowalibyśmy się tego rodzaju poglądami, gdyby nie stanowiły one strawy powszedniej szerokiego ogółu. Są to skamieniałości kulturalne, które należałoby skrupulatnie przechowywać w muzeach osobliwych zabytków i martwych anachronizmów, a które, na mocy żywiołowego nieporozumienia, krążą śród społeczeństwa w charakterze aktualnych, codziennych środków działania i oddziaływania między ludźmi.

Zastanówmy się nad skalą niebezpieczeństwa, jakie grozić by mogło narodowi, który miast żelaza i stali posługiwałby się w epoce naszej kamieniem łupanym, i pomyślmy, o ile stopni niebezpieczeństwo wzrośnie, gdy stosunek ów z dziedziny materjalnej przeniesiemy w dziedzinę etyki społecznej.

Tymczasem, wobec p. Krzyżanowskiego, powracając do oceny krytycznej jego utworów, poprzestać możemy na wyrazach kurtuazji, przyznając mu, że obraz, odtwarzający „Dni trwogi i zamętu", pisał nie tylko głową, ale i sercem: bowiem z serca własnego czerpał niekłamaną trwogę, z głowy swej niekłamany — zamęt.

W. Rzymowski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Szowiniści niemieccy i rosyjscy, gdy im coś w drodze staje, — węszą w tym intrygę polską; klerykali w każdej złej przygodzie widzą machinacje masonów, masoni podstępy jezuitów, a *Nowa Gazeta* chytrość *Kurjera Porannego*. Cóż się dziwić? Strach ma wielkie oczy. A wiadomo, że straszne są lwy, tygrysy i jadowite węże, ale sroższym jeszcze potworem jest konkurencja.

Jakkolwiek *Kurjer Poranny* nie bardzo obawia się *Nowej Gazety*, pośpieszamy oczyścić go z zarzutu. Ani pan Fryze, ani p. Ehrenberg nie jest winien zbrodni obrazy majestatu p. Kempnera, popełnionej w ostatnim numerze *Prawdy*.

„Letni" politycy tego pisma — nie mieli wspólników i całkowicie przyjmują na siebie srogą odpowiedzial-

ność wobec postępu polskiego za podejrzywanie o koncentracyjne skłonności człowieka, który „się nigdy nie koncentrował”, jak zapewnia *Nowa Gazeta* o p. St. A. Kempnerze. Również niesłusznym jest przypuszczenie, że ci zuchwali świętokradcy mają w *Kurjerze Porannym* „jedyne źródło orjentacji”. Tym razem zorjentowali się, sięgnąwszy do *Nowej Gazety*, która obiecując czytelnikom „współdziałanie” z p. Straszewiczem i jego obozem, widocznie sama nie zorjentowała się, co pisze.

Może to skutek silnego wzruszenia, jakiego doznała wobec strzelistych afektów tak dystyngowanego konkurenta. Gdy chwilowy zawrót głowy przeminie, zapewne dopomoże naszej dalszej orjentacji i wyjaśni, jak owo współdziałanie bez koncentracji rozumieć należy, lub też odpowie „kochanemu panu Ludwikowi”:

„Idźmy każde w swoją drogę, ja cię wiecznie będę kochać, ale twoją być nie mogę”. Dotychczas w każdym razie stanowczego odkosza nie dostał, a jeśli *Nowa Gazeta* „koncentrować się” nie myśli, to po cóż te płoche igraszki, ta kokieterja polityczna?

W końcu jeszcze jedna uwaga: *Nowa Gazeta* wychodzi do gości realistów wypomadowana, wyświeżona, ze słodkim uśmiechem *od święta*, odpowiadając nam, przywdziewa ordynarny szlafrok, zrzuca rękawiczki i pokazuje paznokcie. Radzimy jej zredukować kulturę na eksport, a pozostawić jej choć trochę na domowy użytek.

* Gotuje się oto nowy zatarg—pisaliśmy d. 25 czerwca w rubryce *Na dobie*—ostatnie z państw Romańskich, Hiszpanja, wślad za Włochami i Francją, strząsa jarzmo rzymskie i staje w szeregach Wolnej Myśli. Odtąd jeden tylko kraj pozostanie zgięty pod ferułą wyznaniową rzymskiego związku kardynałów: tym krajem jest Polska. Zaszczytne wyróżnienie! Dla rodzimych Kalchasów istotny powód do chełpliwej radości...”

Przewidywania nasze rychło się sprawdziły. Organ warszawskich Kalchasów nie tai, że wespół z materjalnym zaborem ze strony Byzancjum dokonano tutaj zaboru duchowego ze strony Rzymu...

> I cóż? W ujemnym znaczeniu użyte przez pseudo postępowców określenie Polski, jako „prowincji rzymskiej”, ma dla nas całkiem odmienne znaczenie. W naszej interpretacji, jedynie słusznej i objektywnej, raczej zaszczyt, aniżeli ujmę ta nazwa Polsce przynosi.
>
> Symboliczne już teraz *imperium romanum* znaczy obecnie to samo, co *civitas Dei*, państwo Boże...
>
> Owej *civitatis* Dei, owego mistycznego państwa, o którym tak cudnie marzył u schyłku starożytnego świata ś-ty Augustyn jest prowincją każdy kraj katolicki, więc i Polska, Taką też „prowincją rzymską”, wbrew wysiłkom liberałów i wolnomyślicieli w Polsce zrodzonych, pozostanie.

A więc tak. Polska jest nietylko „prywiślinjem”. Jest nadto *imperiae romanae provincia* tak jak była nią dotąd Hiszpanja, jak jest po dziś dzień Portugalja, nieszczęsny zapomniany kraik, pod egidą św. Augustyna pełen ruin, ciemnoty, nędzy, zastoju, barbarzyńskiej despotji u szczytów i krwawych konwulsji na spodzie... Oto *civitas Dei*—państwo bynajmniej nie „mistyczne” o jakim marzył autor utopji kościelnej, lecz realny, żywy ustrój społeczny, rządami Kalchasów rzymskich do cna wyczerpany i rozbity.

Z prasy rosyjskiej.

* Udział prowokatorów w wewnętrznej polityce Rosji nie przestaje być jednym z najbardziej palących zagadnień teraźniejszości. Nic dziwnego: wszak system dawny,—pisze *Riecz*—panuje nadal w całej pełni. Zagranicą, w zeszłym tygodniu, jak donosi N. M. na łamach *Utra Rossii*, ukazały się zapiski zmarłego generała żandarmskiego Nowickiego, w których wyłożone są pierwsze kroki roboty prowokatorskiej *en grand*. Rzecz prosta, gen. Nowicki, jako urzędnik i żandarm, źródło wszelkiego zła widzi w rozterkach, tkwiących między organami zarządu.

Póki na czele policji politycznej stali samodzielni szefowie żandarmów, „żandarmi walczyli z rewolucją, lecz sami rewolucji nie szerzyli”. Zmiana atoli zaszła przy Loris-Melikowie, gdy zabiegi śledcze przeszły pod kierunek departamentu policji, zależnego od ministerjum spraw wewnętrznych. Wówczas to miała właśnie powstać dopiero „intryga i tajemnica”. Powstały instytucje i urzędy, osłonione podwójnym i potrójnym obłokiem tajemniczości, nie tylko dla oczu społeczeństwa, ale i dla oczu policji, jak np. „sekretny wydział polityczny” przy kancelarji oberpolicmajstra w stolicy, „agientura osobna przy trzecim wydziale”, „inspektorzy tajnej policji”, i ponad tym wszystkim górujący-system „oddziałów ochrany”, działających na mocy tajnych instrukcji i współzawodniczących z korpusami żandarmów. Na czele działalności śledczej stają ludzie nowej szkoły, z polityką dwulicową i sumieniem podwójnym, policyjno-rewolucyjni Janusowie: Ludiejkinowie, Zubatowowie oraz ich sługusi, dla których dochodzenie śledcze jest przedewszystkim rzemiosłem korzystnym, grą niebezpieczną wprawdzie, ale niesłychanie zyskowną. Ajenci „ochrany”, wedle słów Nowickiego, sami zakładają drukarnie potajemne, odbijają i rozpowszechniają proklamacje rewolucyjne, potym zaś robią masowe obławy, aresztowania, niecąc nienawiść i rozjątrzenie nie tylko wśród społeczeństwa, ale i pośród samych żandarmów. „Przesłużyłem w korpusie żandarmów na urzędzie szefa zarządu żandarmskiego,—mówi autor zapisków,—więcej niż lat 30, przyjąłem jedenastu oficerów-żandarmów, wszelako nikt nigdy takiej nienawiści ku sobie nie wywołał pośród żandarmów, jak p. r. Plehwe”. Większa część zapisków gen. Nowickiego poświęcona jest działalności Zubatowa oraz jego wspólników: literata Wolina, Mani Wilbuszewicz, d-ra filozofji Szajewicza, pułkowników żandarmskich: Wasiljewa i Spirydowicza, Hapona i innych. Hapon, wedle Nowickiego, otrzymywał zasiłki od policji i już w Połtawie brał udział w sprawie zabójstwa sekretarza konsystorskiego Komarzewa, z powodu którego padło podejrzenie na braci Skickich. Szajewicz z wiedzą policji czynił przygotowania do rzezi w Baku. Gen. Nowicki, osłupiony tym wszystkim, skłonny był widzieć w Zubatowie, znów, jak wiadomo, wezwanym do zajęcia służby państwowej, niezmiernie przebiegłego rewolucjonistę. Nowicki, zresztą, daje także inne „materjalistyczne” tłomaczenia. Do czasów Zubatowa, policja polityczna w Kijowie kosztowała wszystkiego 7,000 rubli, gdy tymczasem w r. 1905 sam wydział „ochrany” kosztował już 108,000 rb. Była zatym przynęta dla pracy. Im więcej rewolucjonistów, tym „ochrana” była bogatsza. Na cóż przydałaby się „ochrana”, gdyby rewolucjonistów nie było? Jak mówił Woltaire, gdyby ich nie było, to trzaby ich wymyślić. N. M. powiada, że bardzo są ciekawe uwagi gen. Nowickiego o roli, jaką grał Zubatow podczas zabójstwa gubernatora ufańskiego Bogdanowicza. „Wrażenie prawdziwie wstrząsające,—pisze N. M. w konkluzji,—pozostawia przeczytanie zapisków, mimo chaotyczność układu i styl barbarzyński. Okazuje się, iż banda ajentów-prowokatorów oszukiwała jednocześnie i rewolucję i rząd. Wówczas, gdy między obu obozami toczyła się ideowo-dziejowa walka, jacyś szubrawcy-spekulanci, jacyś intendenci polityczni, w rodzaju Zabatowów i Azefów, bogacili się i tyli kosztem krwi przelanej”.

Książki nadesłane do Redakcji:

— „O poecie“ cztery głosy: R. W. Emersona, K. Spittelera H. r Hofmannsthala i R. Dehmla; zebrał i przełożył Jan Kasprowicz; wydawnictwo „Symposion“ Lwów 1910 B. Połaniecki Warszawa E. Wende i S-ka; str. 134.

SPROSTOWANIE: W Nr. 35 *Prawdy* zaszła w artykule: „Rusyfikacja przez nieuctwo“ pomyłka zecerska: błędnie wydrukowano *Zmierynka* zamiast *Zmierzynka*.

Prenumerata „Prawdy” (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. Redaktor: Aleksander John.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.